

(Trzech na jednego) ZDANIE, nr 3-4/2004

Jeden:

TADEUSZ KOWALIK

Trzech: edward chudziński, paweł kozłowski, filip ratkowski

MUSZTARDA PRZED OBIADEM

Z Tadeuszem Kowalikiem rozmawiają

Edward Chudziński, Paweł Kozłowski, Filip Ratkowski

EDWARD CHUDZIŃSKI: W jednej z not biograficznych wyczytałem, że we wczesnej młodości sposobił się Pan do zawodu czapkarza. Jak do tego doszło?

TADEUSZ KOWALIK: Tak, jestem czeladnikiem czapniczym, także czeladnikiem cholewkarstwa. Pierwszy zawód to była forma wyrwania się ze wsi, z wiejskiej biedy. A cholewkarstwa nauczyłem się już dla potrzeb mojej spółdzielni pracy i w tym drugim zawodzie nie pracowałem, gdyż z końcem wojny nasza spółdzielnia rozsypała się.

Urodziłem się w chłopskiej rodzinie i to w takiej zakutej, lubelskiej wsi, w której nie było ani poczty, kościoła, ani szkoły, sklepu. Do trzech szkół musiałem chodzić, żeby skończyć pełną szkołę powszechną. Blisko była czteroklasowa, potem sześć, a siedmiolatka jeszcze dalej. Moi rodzice dopiero na początku lat 50. przenieśli się do fabryki samolotów w Świdniku k. Lublina. I wtedy zmieniło się moje pochodzenie społeczne. Matka była sprzątaczką fabryczną, ojciec magazynierem a potem został nawet kierownikiem jakiegoś magazynu, więc miałem już pochodzenie chłopsko-robotniczo-inteligenckie!

Oba moje zawody związane są z wojną i zagładą Żydów. W 1942 r. okazało się nagle, że rejon kompletnie ogołocoło z rzemieślników, bo Żydów wywieziono do lubelskiego getta.... To był zresztą straszny widok - przez naszą wieś przeszła pieszo procesja Żydów, starców, dzieci popędzanych przez „granatową” policję i żandarmów niemieckich. Ten obraz długo miałem przed oczami.

Niedługo potem były ogłoszenia o różnych kursach czeladniczych, zapisałem się więc na czapniczy, co chroniło przez wywózką na przymusowe roboty do Rzeszy. Taktowałem to

jako zawód przejściowy, dlatego wybrałem łatwy (nie krawiecki, na przykład). I ku memu zdziwieniu, przy ostrym sprzeciwie ojca. Długo mu pamiętałem słowa: „jak sobie chcesz, ale my ci nie pomożemy”. Choć jestem przekonany, że nie było w tym antysemityzmu, oboje rodzice byli bardzo tolerancyjni, otwarci (wielokrotnie słyszałem od nich, że wszyscy ludzie są równi), to jestem przeświadczony, że przyczyną była zakorzeniona niechęć do tych zawodów, przeznaczonych raczej dla biedoty żydowskiej, a może i nie żydowskiej, ale nie dla tych, którzy mieli awansować.

RATKOWSKI: Skąd więc u Pana skłonność, by przeskoczyć ten, powiedzmy, etap zadowolenia z codzienności?

KOWALIK: Tu muszę zrobić dłuższą dygresję o ojcu, bo często się zastanawiałem, kim mógłby być, gdyby miał szansę się uczyć. Matka pozostała „niepiśmienna”, natomiast ojciec - samouk pierwsze obycie zawdzięczał ruchowi ludowemu (należał do „Wyzwolenia”). Ale jaki samouk! Nie tylko pisał dla całej wsi podania, pisma urzędowe z pewną znajomością prawa, ale stworzył coś w rodzaju mini-światy. W zimowe wieczory czytaliśmy na głos książki. Musiał mieć pewne rozeznanie w literaturze, bo pożyczał ze szkoły książki Żeromskiego, Prusa, Reymonta, a nie np. Rodziewiczówny, Berenta, czy modnego wówczas Dołęgi-Mostowicza. Mieliśmy pierwsi we wsi radio słuchawkowe („na kryształki”), do którego wieczorami mieli „prawo” też sąsiedzi. Było to kłopotliwe, bo mieszkaliśmy w jednoizbowym domu (którego druga połowa była oborą). W wiele niedziel w roku strzygliśmy chłopom włosy (darmo oczywiście, i tylko do „sumy”, czyli mszy o 12.00, choć kościół był daleko). Także na różne działania rzemieślnicze był bardzo otwarty. To dzięki niemu, jego samouctwu także ja umiałem robić noże sprężynowe, łyżwy (obie rzeczy ze starych sierpów i kos), zapalniczki (z gilz od karabinu), narty. Spora część sąsiadów używała mojej roboty konewek do odstawy mleka (ze starych wiader). Ale ja miałem być nauczycielem, urzędnikiem. Nie księdzem, bo ojciec był antyklerykałem. To był postęp, bo moja babcia mówiła do mnie: „łucys sie i łucys, musi jus mug byś być łorganistom”.

Właśnie dla takiego awansu, żeby dzieci mogły się „dalej uczyć” (obie moje siostry są po studiach, jedna wykładowcą-ekonometrykiem na UMCS w Lublinie), ojciec przez wiele lat jeździł lub chodził (ponad 20 km.) do Lublina, by odkupić „dozorcówkę” za nasze 2 hektary ziemi. Ale nikt nie chciał kupić ziemi, ani nie można było znaleźć wolnej dozorcówki.

RATKOWSKI: Odkupienie dozorcówki razem z posadą dozorczy? Tak jak kupowanie urzędu za Ludwika XIV we Francji.

KOWALIK: Inaczej, bo tam kupowano między swoimi, a dla nas miasto, „mieszkie ludzie”, to był zupełnie inny, zamknięty dla nas, wymarzony świat! Może opowiem o moim pierwszym zetknięciu z miejskim jedzeniem. Na krótko przed wojną jakiś śmiałek otworzył sklepik w małej wynajętej izbie, w wykończeniu której brało udział paru chłopców, ja też (nosiliśmy deski, ubijali piasek pod cementową podłogę). Nawiasem, sklepik nie utrzymał się, bo wieś wróciła wtedy do gospodarki naturalnej. Jako zapłatę dał nam do wyboru: kostki cukru lub musztardę. Ja jeden, wybrałem musztardę, bo byłem odcytany. Wiedziałem, że nie je się jej po obiedzie („musztarda po obiedzie”), postanowiłem więc wypróbować przysmak przed obiadem, co zrobiłem w polu, chyba, żeby się z nikim przysmakiem nie dzielić. Długo potem nie używałem tego przysmaku.

Przykre to, ale dopiero wojna i nowy ustrój otwały drogi awansu, a mimo to, z mojej wsi, aż do lat 60. nikt prócz mnie i moich siostr nie ukończył studiów wyższych.

CHUDZYŃSKI: A więc tak niemodne dzisiaj „klasowe pochodzenie” ogromnie mocno rzutowało na pańskie możliwości i na wybory ideowe?

KOWALIK: Oczywiście, z klasowymi urazami, a nawet snami. Nasza wieś sąsiadowała z dużą posiadłością ziemską rodziny hrabiowskiej. Ojciec gardłował na rzecz reformy rolnej, był więc konsekwentny i nie chodził tam dorabiać, ale matka tak. Chodziła na tzw. „ćwiercie”. Jej praca polegała głównie na zbieraniu i znoszeniu w ćwierć kwintalowych (25 kg) koszach buraków i ziemniaków. Stąd wiedziała, że po zbiorach i zagrabieniu pszenicy pozostawały jednak krótkie, nie zabrane przez grabiarkę kłosa. Chodziliśmy o świcie „na kłosie”, z czego był „miastem pachnący” biały chleb (sami na marnej ziemi uprawialiśmy tylko żyto, kapustę i kartofle). Matka była osobą głęboko religijną, ale równocześnie miała kult chleba, ziarna, żeby nic się nie zmarnowało. Nie uważała więc, że popełnia grzech. Ja też z tego się nie spowiadałem, chociaż z kradzieży jednego buraka cukrowego (smakowitość pieczona na ognisku) tak. Ale rządcy (to ktoś między właścicielem a karbowym) to się nie podobało. Miewał zwyczaj rano objeżdżać posiadłość dwukonną bryczką i gdy nas zobaczył, jechał szybko prosto na nas. Ten właśnie sen nawiedzał mnie przez lata: pędzące na mnie konie i chodziło o to, by odskoczyć nie za wcześnie, bo mógł jeszcze skrócić na nas i nie za późno.

Matka nie klęła, ale mówiła z poczuciem krzywdy: „taki to sum nie weźnie i num nie do” (jej język znacznie się poprawił dopiero dzięki radiu, a potem telewizji).

KOZŁOWSKI: Jednym z tych wyborów było pójście do szkoły kształcenia kadr naukowych przy KC?

RATKOWSKI: Ta szkoła była także odpowiedzią na dramatyczną sytuację Polski, która straciła trzy czwarte inteligencji w czasie wojny.

KOWALIK: To był motyw kierowników, rządzących. U mnie – wybór ideowy. Wierzyłem wtedy w socjalizm. Miałem tego dowody: parcelacja majątków dość pasożytniczej warstwy społecznej, co zresztą jej najświatlejsi przedstawiciele przyznawali. Tak ją nazywał w rozmowie ze mną Paweł Czartoryski, z którym długo pracowałem w Instytucie Historii Nauki PAN. A przede wszystkim otwarte dla biedoty uczelnie i praca dla każdego, opieka zdrowotna, wczasy, sanatoria. Sam w 1948 r. jeździłem po wsiach i małych miasteczkach Podkarpacia i wyszukiwałem Janko Muzykantów na Kursy Przygotowawcze na Wyższe Uczelnie. Jeździłem jako aktywista krakowskiego AZWM „Życie”.

Ale jeszcze chcę wspomnieć o mojej przygodzie spółdzielczej, bo ona miała wpływ na moje wybory. Chyba na przełomie 1942/43 r. zacząłem pracować w już powstałej w Bychawie w spółdzielni pracy, przed Niemcami ukrywanej pod firmą prywatną. Częściowo ze względu na dom, w którym mieszciliśmy się, a częściowo z uwagi na nasze poglądy, sposób życia, wynagradzania, nazywano nas „Judenratem”, co było odpowiednikiem przedwojennej „żydokomuny”. Bo istotnie byliśmy ideową wspólnotą wierzącą w „Rzeczpospolitą Spółdzielczą” Edwarda Abramowskiego. Korzystaliśmy też z jakichś kursów korespondencyjnych połączonych z broszurami ideowymi. To w tym środowisku otrzymałem książeczkę Ludwika Krzywickiego, która wywarła na mnie wielkie wrażenie. Jej pierwotny tytuł brzmiał: *Sic itur ad virtutem* lepiej niż potem spolszczony (*Takiemi będą drogi wasze*, a powinno być: „Oto droga do cnoty (ale chyba i męstwa”). *Miej ambicję, Bądź dumny, Miej imię, W czynów stal uderzaj, Dłużnikiem jesteś*. Ze względu na młodopolski, niemal nietzscheański język, dziś lektura jej jest trudno strawna. Ale podczas okupacji, tak jak w niewoli rosyjskiej dla sfrustrowanej młodzieży po upadku rewolucji 1905 r., przemawiała do mnie lepiej niż katechizm. To były właściwie moje przykazania. Zwłaszcza że moja ostatnia spowiedź w

Lublinie obok dymiącego Majdanka stała się wybuchem buntu przeciw Bogu, który dopuszcza takie rzeczy.

KOZŁOWSKI: Jakie wspomnienia zachował Pan z Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR?

KOWALIK: Jak najlepsze. Przede wszystkim dla mnie to było wyzwolenie od pracy, do której się absolutnie nie nadawałem. Studiowałem prawo. Najpierw w dwa lata przerabialiśmy trzyletni program w Wyższej Szkole Prawniczej im. Teodora Duracza. Następnie poszedłem na czwarty – magisterski – rok na Uniwersytet Warszawski. Ale przydział do pracy w sądzie dostałem po dwóch latach. Dwa miesiące aplikantury i nominacja na asesora z prawem sądenia (oczywiście, głównie tzw. pyskówek, ale także z drakońskiej ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy). Po pół roku trafiłem do Ministerstwa Sprawiedliwości przy opracowywaniu skryptów. Jednak cały czas chciałem odejść od prawa, stać się ekonomistą. Byłem już także asystentem „u Duracza”. Aspirantura w INS była wyzwoleniem. A środowisko okazało się wyjątkowo interesujące. Bronisław Baczko, Leszek Kołakowski, Tadeusz Kroński, Helena Eilstein, Włodzimierz Brus, Kazimierz Łaski, Stanisław Kuziński. Adam Schaff miał tę zasługę, że stworzył warunki do względnie swobodnego rozwoju intelektualnego. Osłaniał nas, gdy byliśmy atakowani przez beton partyjny. Mieliśmy większy dostęp do literatury, czas na studia, dużo swobodnych dyskusji, choć oczywiście odbywały się one w pewnych ramach, które pękły na początku 1956 r., przełamane słynnym referatem Chruszczowa o zbrodniach Stalina. Okazało się, że ten Instytut był wylęgarnią rewizjonizmu.

Miałem także to szczęście, że ze względu na temat –chciałem pisać o Ludwiku Krzywickim jako ekonomiście - moim promotorem stał się Oskar Lange – całkowicie zasymilowany Polak-Europejczyk o niemieckich korzeniach, polihistor, jak mój bohater. Lange był złym mówcą, ale w warunkach kameralnych był niezwykle interesującym rozmówcą. Poszedłem do niego pod koniec 1951 r. z buńczuczным nastawieniem. Zgodnie bowiem z ogólnym przekonaniem w środowisku partyjnym, uprzedzono mnie, że idę do ekonomisty burżuazyjnego. Uważano, że to wprawdzie socjalista, ale jest nie tylko wielkim znawcą, lecz także przekonany ekonomistą neoklasycznym, czyli burżuazyjnym.

Zawsze ze wstydem myślę o moich pierwszych rozmowach, gdy arogancko przeciwstawiałem mu „prawdziwy” marksizm, lub takiż socjalizm. A on z olimpijskim spokojem zwykle zaczynał swój długi monolog: „być moooże macie racje..” (tę formę „per wy” utrzymywał cały czas, zresztą, także ze swoimi przyjaciółmi z lat 30.) i następował wywód w tak pojednawczym tonie, że czasem dopiero po wyjściu stwierdzałem, że racji nie miałem.

Studia nad Krzywickim ułatwiły mi wejście w nieznany świat niekomunistycznych socjalistów, głównie w środowisko kierowanego przezeń, przedwojennego Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Początkowo Lange otworzył mi do tego środowiska drzwi, a potem Tadeusz Szturm de Sztrem, faktyczny organizator, sekretarz, redaktor większości publikacji, dusza Instytutu. człowiek- legenda, adiunkt J. Piłsudskiego w Legionach (pseud. „mały”). Socjalista typu pierwotnych chrześcijan, ze względu na postawę, styl życia anachorety, zwany „Chrystusikiem”. Do Szturm de Sztrema trafiłem niedługo po jego wyjściu z więzienia (skazany w dętym procesie razem z Kazimierzem Pużakiem). Przez niego poznałem Edwarda Strzeleckiego, Jana Topińskiego, Stanisława Szwalbego, Wincentego Jastrzębskiego, jednego z kierowników IGS-u, wcześniej uczestnika Rewolucji Rosyjskiej (którego namówiłem na napisanie wspomnień), generała Adama Uziębłą, historyka gospodarczego Natalię Gąsiorowską, statystyka Edwarda Grabowskiego. Także socjalistów spoza „koncepcjonowanej” PPS: Grzecznarowskiego, Pajdaka. Wszyscy oni ostro przeciwstawiali socjalizm komunizmowi.

W 1956 lub 1957 r., gdy tylko poprawiła się atmosfera polityczna, podjęliśmy próbę odtworzenia IGS-u, ale skończyło się na stworzeniu komórki o tej nazwie przy SGPiS. Usiłowaliśmy także, głównie wspomniany już Uziębło, odtworzyć Wolną Wszechnicę Polską, gdzie miałem objąć katedrę ekonomii.

Tak więc, gdy opuszczałem INS (w 1956 r. (już jako jego pracownik) nie tylko samo środowisko komunistyczne INS, logiką wydarzeń, mocno się zmieniło, ale miałem wiele znajomości lub przyjaźni z niekomunistycznymi socjalistami.

KOZŁOWSKI: A kto uczył Pana ekonomii?

KOWALIK: Lange mniej uczył mnie ekonomii, więcej opowiadał o ludziach ekonomii, o ośrodkach, w których studiował, o różnych podejściach. A przede wszystkim o politykach i socjalistach, myślicielach socjalistycznych. Z ekonomią zetknąłem się wcześniej, po raz pierwszy, w Lęborku-Wejcherowie, w 1947 r. I to w jakim charakterze? Pracowałem w Lęborku w wydziale politycznym starostwa, ale jako pełnomocnik cenzury. Nie powiedziałem wcześniej, że już w Lublinie, pół roku pracowałem jako księgowy w tej instytucji i na ziemię zachodnie wyjechałem obrażony, że nie chcą mi dać pracy politycznej. A ja chciałem „służyć rewolucji”, a nie partii. Jakiś vacat w sąsiednim Wejcherowie sprawił, że do mnie trafił rękopis *Wstępu do ekonomiki* poznańskiego uczonego, Edwarda Taylora. Dałem zgodę na druk, nie zdając sobie sprawy, że przekraczam kompetencje. Książki i gazety były zastrzeżone dla urzędów wojewódzkich.

Następny krok to był Kraków, gdzie skończyłem pierwszy rok Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, założonej przez Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych (głównie przez braci Białasów). Wykładali w niej interesujący ludzie: obaj Stefan i Konstanty Grzybowscy. Ten drugi – raczej konserwatysta – ciekawie wykladał teorie socjalistyczne, a Zygmunt Gross miał prowadzić „ćwiczenia z teorii i praktyki socjalizmu”, ale wyjechał lub uciekł zagranicę. Bolesław Drobner uczył retoryki. Ekonomię wykladał średniego lotu brat Adama, Witold Krzyżanowski. Jan Czarkowski wykladał politykę ekonomiczną.

W „Duraczu” zdałem ekonomię u prof. Jana Zygmunta Wyrozembskiego. A na Uniwersytecie wykladał jeszcze (1951) Edward Lipiński. Jeszcze - gdyż później był nawet dziekanem wydziału ekonomicznego, ale ekonomii już nie wykladał. „Zesłano” go do historii. Zajął się wówczas dziejami polskiej myśli ekonomicznej od czasu Kopernika. Napisał o jego poglądach ekonomicznych książkę. Ale także zajął się mało znanymi postaciami. Dlatego żartowano później, że nie tylko napisał historię polskiej myśli, on ją stworzył.

Zabawne było pierwsze zetknięcie. Poszedłem do niego z oceną bardzo dobrą w indeksie prosić o zaliczenie. Wpisał mi dostateczny. Gdy zwróciłem mu uwagę, że się pomylił, powiedział: u mnie zaliczyć można tylko na trójkę.

CHUDZIŃSKI: *Zaczęło się niezbyt zachęcająco... (? jeśli chodzi o kontakty z profesorem Lipińskim?)*

KOWALIK: Bliższy kontakt nawiązałem, gdy profesor był już dziekanem Wydziału Ekonomicznego UW. Z rozmów z Langem o Keynesie i Kaleckim zrozumiałem, że trzeba zrobić wszystko, by szybko wydać główne dzieło angielskiego ekonomisty: *Ogólna teoria zatrudnienia*. Dawno dokonany przekład polski był własnością Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, któremu przez parę dziesięcioleci prezesował Lipiński. Od niego otrzymałem maszynopis przekładu dokonanego przez Michała Kaleckiego i Stanisława Rączkowskiego. Jan Drewnoski redagował tekst. Temu też zawdzięczam pierwszy osobisty kontakt z Kaleckim. Już podczas początkowych spotkań przekonałem się, iż Kalecki źle znosił fakt, że mało kto wiedział o jego prekursorstwie, a zwłaszcza, że ci z otoczenia Keynesa, którzy o tym od Kaleckiego wiedzieli, nie powiedzieli mu.

CHUDZIŃSKI: Kiedy ta książka ukazała się po polsku

KOWALIK: Już w 1956 r. w PWN-ie , oczywiście, z ekwilibrystyczną przedmową ustawiającego Keynesa wobec marksizmu. Od tego zaczęła się moja dwunastoletnia współpraca z PWN-em, głównie przy wydawaniu Biblioteki Dzieł Ekonomii (A. Smitha, D. Ricardo, J.S. Milla i in.) oraz Dzieł Ludwika Krzywickiego (przy czym udało się zatrudnić Tadeusza Szturm de Sztrema).

Żeby już nie wracać do spraw wydawniczych, wspomnę, że od Langego wyniosłem rodzaj misji przyswojenia literaturze polskiej myślicieli przeszłości. Współpracowałem także z „Książką i Wiedzą”. Byłem jednym z inicjatorów i redaktorów Biblioteki Myśli Socjalistycznej, inicjatorem wydawania Biblioteki Studiów nad Marksizmem (jedyne kraj w „obozie”, w którym możliwe były studia NAD marksizmem). To się skończyło w 1968 r., gdy wyrzucono z Polski Adama Bromberga z PWN i Mieczysława Orlańskiego z KiW, który był duszą obu wspomnianych dwu Bibliotek.

Na ten czas przypadło również moje, całkiem osobliwe, pożegnanie z PWN-em.. W 1967 r. ukazał się podręcznik *Historii Powszechnej Myśli Ekonomicznej po 1870 r.* trzech autorów, w tym mnie. Po marcowej „anty-rewi-syjonistycznej” kampanii ‘68 roku ukazało się nowe wydanie bez mego nazwiska, a w dodatku z zapewnieniem, że to pierwszy tego rodzaju podręcznik w krajach socjalistycznych..

Wspomniane doświadczenia i związki zdecydowały, że powierzono mi kierowanie zespołem przygotowującym krytyczne wydanie Dzieł (osiem opasłych tomów) Oskara Langego i Michała Kaleckiego (sześć tomów, redagowanych głównie przez Jerzego Osiatyńskiego, a w języku angielskim wyłącznie przez niego).

KOZŁOWSKI: Lange, Brus, Lipiński... Miał Pan szczęście obracać się w kręgu ludzi wyjątkowych.

KOWALIK: No właśnie: „Dłużnikiem jesteś...” Z „krajowców” powinienem także dodać Czesława Bobrowskiego i Michała Kaleckiego. Myślę, że bliskie kontakty, które przeobrażały się w przyjaźnię o różnej bliskości, zawdzięczałem dwóm okolicznościom. Zawsze interesowały mnie biografie, stawanie się intelektualistów, uczonych, ekonomistów... To mi dawało tytuł do pewnej bezczelności. Pytania biograficzne mają w sobie coś ze spowiedzi. Pytający staje się powiernikiem, co na ogół ogromnie sprzyja zbliżeniu.

Czasem takie pytania miały skutek niespodziewany. To Lange zwrócił moją uwagę na dzieło i teorię Róży Luksemburg jako w pewnym sensie prekursorskie wobec teorii Keynesa. Powiedział mi, że teorię rynków Róży Luksemburg (o czym napisałem pracę habilitacyjną), a w odniesieniu do Kongresówki – teorię organicznego wcielenia”, wykladał mu jego małe piśmienny ojciec, który był fabrykantem tekstylnym. Jego zakład produkował na rynki wschodnie. Uważał, że bez dostępu do rynku rosyjskiego, jego zakład nie mógłby egzystować. I rzeczywiście po rewolucji 1905, gdy nastąpiła dekonstrukcja, także w początkach międzywojnia sporo fabryk podpalano, by dostać przynajmniej odszkodowanie z ubezpieczenia. To było skutek odcięcia ziem polskich od rosyjskiego rynku.

RATKOWSKI: Podobna sytuacja zaistniała po powstaniu 1863, gdy w ramach represji postawiono granicę celną między Priwislanskim Krajem a imperium. Wtedy część przemysłu tekstylnego z Łodzi przeniosła się do Białegostoku.

KOWALIK: Druga okoliczność sprzyjająca zbliżeniu, to moja skłonność do „sporu i uporu”. Do sporu także z wielkimi. Z wszystkimi wyżej wymienionymi skończyło się to dobrze. Ale już, na przykład, nie z Julianem Hochfeldem, choć próbowałem. Nigdy nie traktował mnie inaczej niż jako jednego z uczestników seminarium. Sam także zrezygnowałem po pierwszym takim spotkaniu z utrwalania wspomnień Władysława Bieńkowskiego, gdyż odniosłem

wrażenie, że bawi się mną, manipuluje. Z Czeławem Bobrowskim nagrałem ponad 20 taśm, z czego potem zrobił książkę (*Wspomnienia ze stulecia*). Ale nie mógłbym powiedzieć, że to utworowało naszą przyjaźń. Przeciwnie, czułem, że niektórych pytań nie powinienem był zadać. Opowiem o jednym, mającym walor ogólniejszy. Na koniec naszych rozmów zadałem pytanie, jak on, socjalny liberał, tłumaczy swoją współpracę z komunistami. Odpowiedział, że musi się nad odpowiedzią zastanowić. Następne spotkanie zaczął, ku memu wielkiemu zaskoczeniu od odczytania swego *credo* z kartki. Było w tym goście coś takiego, że nie dopuszczało rozmowy. Prawie jak oświadczenie. Ale na koniec dodał: „Proszę Pana, przedwojenne rządy były też odrażające, a jednak współpracowałem z nimi”.

CHUDZIŃSKI: A potem, gdziekolwiek pobierał Pan nauki, to zaraz po ich ukończeniu stawał się Pan wykładowcą...

KOWALIK: Czasy były takie, że nawet przed ukończeniem. Podczas ostatniego roku studiów prawniczych na UW prowadziłem ćwiczenia z ekonomii w „szkole Duracza”. Także po skończeniu studiów aspiranckich w INS uczyłem ekonomii.

KOZŁOWSKI: Czy w owych czasach niebezpiecznych ci wielcy naszej ekonomii mówili coś, co byłoby wówczas źle widziane?

KOWALIK: Przed 1956 rokiem o szczerze rozmowy było trudno. Tu przeciwstawiłbym Langego Lipińskiemu. Lange zawsze był ostrożny w swoich sądach, nie kłamał, ale wiele rzeczy przemilczał. Unikanie ostrych sądów leżało zresztą w samej naturze Langego, człowieka niesłuchanie dobrotliwego. Kiedyś ukazał się w „Kulturze” paryskiej wredny artykuł Zbyszewskiego o Langem z passusem, że „jak każdy kaleka Lange nienawidził normalnych ludzi”. No rzeczywiście, to pomysł nie z tej ziemi! Reakcja Henryka Dunajewskiego najlepiej oddaje esencję dobrotliwosci Langego. Przypomniał on, że w naszym środowisku powtarzaliśmy: „jakie to szczęście, że Lange nie jest kobietą, bo byłby co dziewięć miesięcy w ciąży”.

Inaczej Lipiński. Zawsze mówił, co myślał, wymyślał na biurokratów, używał mocnych słów, także przez telefon. I także wobec siebie. Zbierał w teczce .pt. Bał Polski różne błędy, paradoksy ośmieszające system. Kiedyś z niewiedzy, coś głupiego powiedziałem o Katyniu,

za co mnie skarcił, ale to był taki ton, że nie przyjmowało się tego zbyt boleśnie. Był długo członkiem PZPR, ale całe jego zachowanie przeczyło dyscyplinie partyjnej, hierarchiczności. Gdy na początku lat 60. podpisał słynny list 34, a potem na polecenie partii odwołał to, wstydził się, mówiąc na przykład: „Zachowałem się jak ta szmata, co tam leży”.

KOZŁOWSKI: A Kalecki?

KOWALIK: Jeszcze inna osobowość. Kalecki po raz pierwszy wrócił do kraju w 1946 roku i wiele rzeczy go zaniepokoiło. Nie tylko reakcja na pogrom kielecki, antysemityzm, ale też niepokoiła go niedojrzałość kadry rządzących. Widział siebie jako doradcę najważniejszych ludzi w państwie, lecz stwierdził, że rozsądnie z nimi rozmawiać trudno. Powtarzał mi na przykład rozmowę z Eugeniuszem Szyrem, który kreślił przed nim ogromne plany industrializacji. Na reakcję Kaleckiego, że zabraknie żywności, że wywoła to inflację, Szyr powiedział: To siłą zabierzemy chłopom zboże. Kalecki na to: jak zabierzecie w jednym roku, to w następnym już nie będziecie mieli co zabrać.

Zniechęcony wyjechał i wrócił dopiero w 1955 r. W USA z kolei ciężko przeżywał maccarthyzm i infiltrację ONZ przez amerykańskie specsłużby. Pracował wówczas w ONZ kierowanej przez jej sekretarza Trygve Lie, którego uważał za kiepskiego ekonomistę. Zresztą złożył dymisję po jakimś konflikcie wokół komunistycznych Chin, które chciał włączyć do raportów.

KOZŁOWSKI: A tu w Polsce zaczęła się odwilż...

KOWALIK: W końcu 1955 r. to nawet więcej niż odwilż, zwłaszcza w środowisku literatów, spory ferment umysłowy. Pierwsze wystąpienia Kaleckiego były dla nas objawieniem. Ta precyzja języka, imponująca znajomość faktów poddanych lewicowej analizie, zwłaszcza gospodarki amerykańskiej. Podbił serca i umysły prawie wszystkich. I o ile Lange właściwie nie miał szkoły, bo był zbyt uniwersalny, o poglądach mało sprofilowanych, to „szkoła Kaleckiego” znanego z ostro zarysowanych poglądów, powstała szybko. Pod jego kierownictwem pracowały dwa zespoły – jeden nad gospodarką kapitalistyczną a drugi nad socjalistyczną.

KOZŁOWSKI: Jaki był Kalecki w kontaktach prywatnych?

KOWALIK: Absolutna uczciwość i skromność, ale skromność w innych sprawach niż teoria naukowa. Uważał, że to co głosi, jest po prostu prawdą. Złościł się na Langego, który po prezentacji teorii cyklu Kaleckiego, napisał mniej więcej tak: takich modeli można stworzyć wiele, co zależy od przyjętych założeń. Kalecki zaś uważał, że przedstawił nie model, lecz teorię, w domyśle, teorię jedynie prawdziwą. Prawie nie sięgał przy tym do literatury. W bibliotece miał kilka książek ekonomicznych, ale za to przeczytanych od deski do deski... Tak jakby rozbierał książkę na kawałki. Widziałem kiedyś u niego chyba książkę Sena, później Noblisty, mocno pokreśloną z licznymi uwagami. Wykładał tylko siebie, tylko swoje poglądy, stąd brała się jego ogromna powściągliwość w przyjmowaniu zleceń na wykłady, bo wykładać nie mógł wiele, skoro głosił tylko poglądy Kaleckiego. Gdy dostał z Cambridge 1968 r. zaproszenie na 15 godzin wykładu, zareagował: „zwariowali, musiałbym kilka lat się przygotowywać”. Jego wykład w SGPiS trwał zwykle pół godziny, a resztę chciał wypełnić pytaniami i odpowiedziami. Ale – jak powiedział kiedyś, chyba najwierniejszy i najwybitniejszy jego uczeń, Kazimierz Łaski – „wyjaśniał” tymi samymi słowami, tylko głośniej.

Kiedyś stwierdził, że – jak chodzi o decyzje inwestycyjne to są co najmniej trzy teorie... – Na to szepcę do kolegi, że mamy nadzwyczajne wydarzenie - Kalecki zaczyna być historykiem myśli ekonomicznej. Ale za chwile usłyszeliśmy – ja sam stworzyłem.. – I tu wykłada owe trzy teorie.

Ogólnie, Kalecki był niesłychanie krytyczny wobec kapitalizmu. Uważał, że w kapitalizmie tkwi silna tendencja do stagnacji. Nie można więc przyjmować rozwoju, dynamiki kapitalizmu jako czegoś oczywistego. Właśnie w związku z tym mawiał:” ja idę dalej niż Marks” (bo Marks zakładał, że pęd do akumulacji jest niepowstrzymany aż do upadku). Szczególną awersją darzył kapitalizm amerykański, głównie z uwagi na imperialne tendencje. Szczyt jego niechęci wywołała interwencja USA w Wietnamie. Nikogo innego nie spotkałem, kto przeżywałby tę wojnę jak Kalecki. Jak gdyby ta wojna toczyła się tuż obok, za naszą miedzą. Wielokrotnie mówił o zabijaniu niewinnych chłopów wietnamskich, napalmem niszczonej osiedlach. No a dołączył się jeszcze haniebnym Marzec '68, który Kalecki nazywał „Reichstag dla ubogich”. Im silniej zaangażował się w socjalizm, tym głębsze było jego rozczarowanie. Pytał, czy „oni” mogą wycofać moje książki z bibliotek? Albo mówił:

„Optymistyczne jest tylko to, że ja mam już 70 lat”. I rzeczywiście zmarł przed ukończeniem 71 r. życia.

Wracając do kapitalizmu, chyba najbardziej trwałym elementem niechęci do tego ustroju była wyniesiona z Wielkiej Depresji lat 30., kwestia bezrobocia. To była właściwie obsesja jego życia.

RATKOWSKI: Jakże słusznie!

KOWALIK: No tak, ale on to niebezpieczeństwo wietrzył również w socjalizmie, co dla nas „młodo Turków” było czystą abstrakcją. W 1956 roku byłem naczelnym redaktorem „Życia Gospodarczego”, walczyliśmy o samorząd robotniczy, a on przeciwstawiał się zbyt daleko idącej samorządności. Dla nas model jugosłowiański był szczytem ówczesnych marzeń, a on ..że: samorząd rodzi bezrobocie, bo załoga nie jest zainteresowana dzieleniem się wypracowanymi dobrami ze wzrastającą liczbą pracowników.

KOZŁOWSKI: Ale przecież napisał tekst...

KOWALIK: Owszem, napisał świetny artykuł o równowadze między samorządem a planowaniem, ale to był wynik długich dyskusji, głównie zresztą z Brussem, który miał, może jedyny w naszym środowisku, na niego wpływ. Broniąc kompromisu między planowaniem i samorządową decentralizacją miał, oczywiście, więcej racji niż my.

Kalecki był trudnym dyskutantem, niesłuchanie nieufnym wobec uznanych prawd. Dobrze oddał jego charakter pewien Jugosłowianin. Gdy przyszedł od niego do Lipińskiego, powiedział o Kaleckim: „co za dziwny człowiek, jak tylko zaczynasz się z nim zgadzać, to on już się nie zgadza”. Zresztą było wiele anegdot na ten temat.

Jako człowiek, w kontaktach osobistych, był wzorcowo wręcz skromny i uczciwy. Po wykładzie, gdy służbowym samochodem jechał z SGPiS do Komisji Planowania, to podwoził nas, ale tylko do Hożej, a nie dwieście metrów dalej, pod Pałac Kultury i Nauki, gdzie mieścił się nasz zakład i przepraszał, że nie chce nadużywać służbowego auta.

KOZŁOWSKI: Niemal w tym samym czasie co Kalecki wrócił do kraju Bobrowski..

KOWALIK: Czesław Bobrowski to najbarwniejsza postać, jak znałem. Błyskotliwa inteligencja, złotousty, a w dodatku piękny mężczyzna.. Po usunięciu go z prezesury Centralnego Urzędu Planowania, najpierw „ambasadorował” w Sztokholmie, potem osiedlił się w Paryżu. W 1956 roku z wielu stron zaczęto go zachęcać do powrotu. Sam pisałem do niego w imieniu odnowionego zespołu „Życia Gospodarczego” z dość obcesowym: „Pana miejsce w kraju”.

Bobrowski cieszył się wielkim autorytetem jako twórca udanego planu 3-letniego i związany z nim mit emigracyjnego zesłańca, zdymisjonowanego działacza po ideologicznej dintojrze zwanej „Dyskusją CUP-owską”. Tym bardziej byłem zaskoczony, kiedy we wrześniu lub październiku 1956 roku wreszcie do kraju przyjechał, podczas dłuższej rozmowy w redakcji, powiedział nagle – musimy już kończyć, bo jestem umówiony z Hilarym Mincem. Doświadczylem wielkiej lekcji tolerancji, otwarcia. Oto Bobrowski niemal pierwsze kroki kieruje do (znajdującego się już w odstawce) swego pogromcy. Z późniejszych rozmów wiem, że był zafascynowany Hilarym Mincem. Dostrzegał w nim coś z polskiego szlachciury, czy romantyka. Ta obsesja przemysłu ciężkiego wynikała u Minca z doświadczeń wojny '39 roku. Ubolewał podobno, że w 1939 roku polscy żołnierze musieli bez broni, mówił nawet, że bosy, iść na front. Mówił, że nie wolno dopuścić do powtórzenia takiej sytuacji.

RATKOWSKI: Czy traktował to sformułowanie jako metaforę, czy miał rzeczywiście taki ogląd jakiegoś ułamka przedwrześniowej rzeczywistości?

KOWALIK:Nie mam pojęcia, może bosy na front nie szli, ale że bosy zgłaszali się do wojska, w to wierzę (sam pozbawiałem matkę, a potem ojca butów, gdy wychodziłem zimą do szkoły). Przynajmniej zdaniem Bobrowskiego, Minca obsesja forsownej industrializacji brała się właśnie stąd...

CHUDZIŃSKI: Bobrowski, jak pamiętam, był zwolennikiem samorządności robotniczej. Lansował model jugosłowiański.

KOWALIK:Tak. Czytaliśmy w redakcji powielany przekład polski jego francuskiej książki *Socjalistyczna Jugosławia*. Także dlatego chcieliśmy mieć go w Polsce, bo to on odkrył przed nami Jugosławię, czyli wzór dla „polskiej drogi do socjalizmu”. Mimo wszystko, mimo

autorytaryzmu Tity, ta wersja ustrojowa była znacznie bardziej demokratyczna niż model sowiecki.

CHUDZIŃSKI: Z tymi wielkimi postaciami w tle kształtowała się Pana droga naukowa...

KOWALIK: Na początku moje ambicje nie szły w kierunku akademickim. Myślę, że gdyby były lepsze warunki, to najchętniej redagowałbym jakiś miesięcznik, czy kwartalnik o charakterze lewicowym, z ewentualnym dodatkiem takiegoż wydawnictwa książkowego i broszurowego. Chciałem być użytecznym głównie na pograniczu nauki i publicystyki. Nie znałem wówczas przesłania kończącego dzieło Keynesa, że w gruncie rzeczy światem rządzą idee. Nauka, jeśli chce być użyteczna, to musi się przez „idee kierunkowe” jak nazywał je Stefan Czarnowski, przedzierać. Ja to chyba wyniosłem z lektur Krzywickiego, który taką właśnie, przez wiele lat pełnił rolę. Naukowcem zaczął być dopiero w średnim wieku.

Moja droga akademicka była dość sztapowa. Najpierw byłem asystentem w szkole im. Duracza, potem robiłem aspiranturę na WSNS, prowadząc jednocześnie zajęcia na dziennikarstwie, na Uniwersytecie Warszawskim. M.in. moim studentami byli Hanka Kraall i Jerzy Urban. Pamiętam, że chyba w czasie wakacji 1957 r. pojechał on do Egiptu i do Izraela, i opublikował mocno krytyczną konfrontację na łamach „Po prostu” tego, czego ja go uczyłem i co tam zobaczył, jak tam gospodarka funkcjonuje. Mimo jego sceptycyzmu, jest mi chyba wdzięczny, bo wtedy, kiedy przerwał studia (był za inteligentny na bycie studentem), i kiedy miał zakaz pracy, próbowałem mu jakoś pomóc...

CHUDZIŃSKI: To po artykule o doktorze Marcinkowskim z Krakowa...

RATKOWSKI: Mówiono o nim: „jego totalność doktor Marcinkowski”. Zresztą bohater tego tekstu był postacią tragiczną...

KOWALIK: Tak, o to chodziło. Pisał przez pewien czas felieton pt. Dumping słów w „Życiu Gospodarczym”, zresztą już nie pod moim kierownictwem.

CHUDZIŃSKI: Wróćmy do Pańskiej kariery naukowej...

KOWALIK: Doktorat uzyskałem za książkę o Ludwiku Krzywickim jako ekonomiście. Jeszcze zdążyłem przez rok lub dwa uczyć w partyjnym Instytucie Nauk Społecznych, zanim został zlikwidowany. Potem uczyłem w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR (do 1959 roku). Pierwsze studia zagraniczne: większość 1960 r. spędziłem w Wiedniu, by studiować Austro-Marksizm. Kontynuowałem je w amsterdamskim Instytucie Historii Społecznej, w którym mieści się bogate archiwum socjaldemokracji austriackiej i niemieckiej. Po powrocie już mnie w partyjnej szkole nie chciano ze względu na poglądy. No właśnie – na skutek studiów nad innym marksizmem.

KOZŁOWSKI: Skończyła się moda na rewizjonistów.

KOWALIK: Zostałem publicznie zaatakowany razem z Juliuszem Waclawkiem z „Trybuny Ludu” przez sekretarza KC, Jarosińskiego. Jakoś za obopólną zgodą zostałem przeniesiony do Polskiej Akademii Nauk. Wylądowałem w Zakładzie Nauk Ekonomicznych, kierowanym przez Bronisława Minca (znacznie niższa klasa niż brat Hilary). Bał się mojej pisaniny, a ja się akurat zająłem Różą Luksemburg, jej książką *Akumulacja kapitału*. Chciał bym złożyć deklarację, że jestem marksistą. Choć w moim przekonaniu byłem nim („prawdziwym!”), uważałbym taką deklarację za uwłaczającą. W 1963 roku zwolnił mnie, mimo że napisałem pracę habilitacyjną w terminie, jaki mi wyznaczył. Po interwencjach Kaleckiego i Langego, Żółkiewski załatwił mi przeniesienie do Zakład Historii Nauki, Oświaty i Techniki. Profesor Bohdan Suchodolski zażądał, bym zajął się XIX wiekiem. I wtedy napisałem *Historię polskiej myśli ekonomicznej po 1865 r.* Ukończyłem ją w 1973 roku, ale wtedy nawet bez czytania nie wstawiono jej do planu. Wyszła dopiero po dziewiętnastu latach, w 1992 roku. Praca habilitacyjna miała więcej szczęścia – ukazała się po ośmiu latach. Przetłumaczono ją na włoski, potem na hiszpański.

Jako szczęście traktuję fakt, że złożona kierownictwu Zakładu w 1974 r. książka o Langem nigdy nie została wydana. Odrzuciło ją parę wydawnictw, czasem bez przeczytania. Nie zdobyłem się jeszcze na jej przeróbkę. Właściwie – po trzydziestu latach - na ponowne jej napisanie. Trudne zadanie, bo to musi być przynajmniej pośrednio rozliczenie ze sobą samym. Mobilizuje mnie do tego setna rocznica urodzin Langego przypadająca właśnie w tym roku...

Następny etap, to praca nad wykładami dla półlegalnego „Latającego Uniwersytetu”, którego byłem współorganizatorem. Z trzech zamierzonych ukazała się tylko pierwsza część: *Spory o ustrój społeczno-ekonomiczny w Polsce, 1944-48*. Wydał ją nielegalnie Mirosław Chojecki, który powiedział mi kiedyś, że 500 egzemplarzy zamelinował gdzieś w piwnicy, ale nie pamięta gdzie. Może się więc kiedyś znajdą. Druga część, napisana, czeka na trzecią. Od czasu stanu wojennego, dwuletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych, zająłem się ekonomią porównawczą, czego wyrazem jest książka *Współczesne systemy ekonomiczne*, 2000.

CHUDZIŃSKI: Jak wyglądały meandry partyjnej przynależności Pana Profesora?

KOWALIK: Długo nie chciałem być w żadnej partii. Na początku, raczej przypatrywałem się partiom chłopskim, to ze względu na ojca-ludowca. A potem bardziej mi się podobała PPS, ale coraz bardziej stawała się (ze względu na skład socjalny) partią inteligencko-mieszczańską. Gdy mnie przyjmowano do PPR, zapytano nawet, dlaczego tu, a nie w PPS, Powiedziałem chyba coś o zmieszczaniu tej partii. Może się krył za tym chłopski uraz antyinteligentki. Pewnie nie przypadkowo na studiach nazywano mnie „pastuszkiem małorolnym”... Chyba na miejscu będzie anegdota o Włodzimierzu Reczku – działaczu PPS. Gdy jakaś pani zapytała go o różnicę między PPS i PPR, odpowiedział: wystarczy spojrzeć na twarze...

Więc wstąpiłem do PPR, potem naturalną kolejną rzeczą stałem się członkiem PZPR, przy czym paradoksalnie, na dwa tygodnie przed awanturą o Jugosławię (?).

Latem 1948 roku zdarzył się jeszcze jeden epizod, który dał mi wiele do myślenia. Oto jadąc na kongres zjednoczeniowy ruchu młodzieżowego do Wrocławia, na którym powołano ZMP, spotkałem na Plantach krakowskich Tadeusza Hanuszka. Siedział na ławce smutny, przygnębiony. Pytam, dlaczego, a on odpowiada, że czuje się jakby kładł swoją organizację do trumny. Na kongresie zjednoczeniowym przewodniczył temu obrządkowi...

KOZŁOWSKI: On był w ZNMS-ie?

KOWALIK: Nie, był przewodniczącym AZWM „Życie” i działaczem PPR. Ale źle reagował na glajchszaltację ruchu młodzieżowego. Parę dni po przyjeździe do Instytutu Nauk Społecznych, Seweryn Bialer (w 1955 r. uciekł na Zachód) powiedział mi na korytarzu o

samobójstwie Tadeusza Borowskiego. Z komentarzem, lub sugestią, że było to samobójstwo polityczne. To zrobiło na mnie silne wrażenie. Borowskim byłem zachwycony jako czytelnik i słuchacz, gdy w 1948/9 chodziłem na ożywione dyskusje klubu młodych artystów i literatów (chyba tak się nazywał). Jego i Stefana Żółkiewskiego najbardziej stamtąd zapamiętałem. Spotkania odbywały się w teatrze żydowskim, w miejscu, gdzie teraz mieści się hotel „Victoria”. Gdy mówił, rozkładał i składał ręce jakby zagarniał ludzi i jakby mówił: „Do gazu Panowie, do gazu...” Takim go zapamiętałem.

CHUDZIŃSKI: Ale w twórczości Borowskiego nie sposób dopatrzeć się śladów kryzysu ideowego. Rozmawialiśmy o tym w latach osiemdziesiątych z Andrzejem Wasilewskim, który uważał się za jednego z jego najbliższych kolegów, pracowali razem w redakcji „Nowej Kultury”. Wasilewski mówił, że Borowski przeżywał poważny dramat osobisty. Zakochał się w jakiejś dziennikarce ze „Sztandaru Młodych”, a był przecież związany ze swoją Marią, którą uwiecznił zresztą w literaturze. Ściągnął ją ze Szwecji, właśnie była w szpitalu, rodziła córkę a on popełnił samobójstwo dokładnie na dzień przed tym, jak miał je obie odebrać ze szpitala... Wasilewski twierdził, że Borowski nie mógł sobie dać rady z tym dylematem.

KOWALIK: Nie sędzę, by była to bezpodstawną plotką. Mnie chodzi o co innego. Oto przyszedłem pełen wiary do kuźni kadr partyjnych i pierwsza rzecz, o której się dowiaduje, że człowiek tak znaczący, dla mnie wzór ideowości, może popełnić samobójstwo na tle politycznym. Pierwsza mocna skaza na mojej wierze.

KOZŁOWSKI: A wkrótce potem zaczęła się wasza walka o reformę...

KOWALIK: O reformy bardzo zresztą umiarkowane. W maju 1956 grupa kolegów z INS-u, z uwagi na moje zainteresowania redaktorskie, a może trochę literackie, nakłoniła mnie bym został redaktorem upatrzzonego dwutygodnika „Życie Gospodarcze” W intencji odmłodzenia i zradykalizowania pisma dokonaliśmy swego rodzaju fuzji naszego zespołu młodych ekonomistów z zespołem gazety. Nasza grupa swoje przyjście zaznaczyła deklaracją pt. *Nasze stanowisko*. Po latach ma się je chęć streścić powiedzeniem: ”i chciał(a)bym i boję się”. Kierunek reform był jednak dość jasny, ograniczenie wszędobylstwa państwa, partycypacja pracownicza, większa samodzielność przedsiębiorstw.

Zacząło się to w maju 1956 roku, a odwołany zostałem już w 1957 jednocześnie z zamknięciem „Po prostu” i „zdjęciem” 34 innych redaktorów naczelnych przez Sekretariat KC. Nam, wyjątkowo, pozwolono jeszcze wybrać z naszego grona mojego następcę. Zaproponowaliśmy Jana Głowczyka z Krakowa...

KOZŁOWSKI: Który potem prowadził pismo przez długie lata.

KOWALIK: Był świetnym redaktorem, a czy zanadto kunktatorskim, oportunistycznym? Nie mnie sądzić. Na pewno nie mógł kontynuować mojej linii politycznej, otwartej walki o reformy, atakowania konserwy, dłużej niż do wspomnianego już przykręcenia śruby w '59 roku. No, może przykład „Polityki” pokazuje, że mógł się zachować lepiej w marcu '68. Zwłaszcza że nawet Gomułka (wiem to od Bobrowskeigo) uważał, że pismo ekonomiczne powinno mieć więcej swobody w krytyce. Wtedy pożegnałem się z „Życiem Gospodarczym” na wiele lat.

Powodem zmian był, moim zdaniem, przede wszystkim konflikt z ówczesnym wicepremierem Piotrem Jaroszewiczem. Pamiętam dwie znaczące rozmowy. Bobrowski powtórzył mi jego słowa: „Jeśli ty ich nie uspokoisz, to ja ich zduszę”. Sam też miałem okazję usłyszeć od Jaroszewicza „Wy, za nasze pieniądze, podgryzacie partię i rząd!”. I to sformułowanie „za nasze pieniądze” zapadło mi w pamięć najbardziej, choć system rozrachunku był taki, że nie było wiadomo, czy pismo korzystało z subsydiów.

W połowie 1957 roku wyjechałem do Moskwy, przekonany, że i tam jest odwilż. Z całą moją naiwnością, w ich urzędzie wydawniczym, którego byłem gościem, wygłosiłem odczyt o polskich przemianach, czerwcowym buncie robotników, Polskim Październiku. Nie usłyszałem żadnych pytań, prócz zdawkowych pochwał. Chłód lub strach. Dopiero parę dni później, gdy Chruszczow pozbył się z kierownictwa partii Mołotowa, Malenkowa i innych, trochę języki się rozwiązały. Ale, na przykład, po prostu mi nie uwierzono, że w Polsce ziemia jest własnością prywatną..

KOZŁOWSKI: Pan Profesor miał kontakty z Klubem „Krzywego Koła”?

KOWALIK: Prawie od początku, do rozwiązania w 1962 r. byłem jego członkiem, aktywnym uczestnikiem, reprezentując raczej poglądy pojednawcze, początkowo pro-Gomułkowe. Tam poznałem Aleksandra Małachowskiego, Jana Józefa Lipskiego i wielu

innych, ale tylko z Janem Strzeleckim się zaprzyjaźniłem. To na pewno było jedno z najciekawszych środowisk, chociaż nieoficjalnie ciągle powtarzano, że stworzyli je ludzie związani z ubecją.

CHUDZIŃSKI: Kiedy ostatecznie rozeszły się drogi środowiska naukowego w Polsce i ówczesnej władzy?

KOWALIK: Jeśli chodzi o gospodarkę, to jest to dość proste. Wszystkie reformatorskie dokonania Gomułki zostały przygotowane przed jego powrotem do władzy. Przypominam: projekty ustawy o radach robotniczych, ustawy o funduszu zakładowym i rozporządzenie Rady Ministrów zwiększające uprawnienia dyrektorów przedsiębiorstw zostały przygotowane we wrześniu i październiku '56 przez Kaleckiego, Brusa i Szymona Jakubowicza, najaktywniejszych członków Komisji, której przewodniczył Jaroszewicz. Sam Gomułka nieufnie odnosił się do samorządu pracowniczego i samodzielności przedsiębiorstw, ale nie mógł nie nadać tym projektom biegu. Musiał coś społeczeństwu dać.

Ale od 1957 roku Gomułka zaczął się zdecydowanie z tych wszystkich zdobyczy wycofywać. Ignorował Radę Ekonomiczną. Jej przewodniczący, Oskar Lange, który w opinii publicznej uchodził za jego doradcę, powiedział mi, że jedyna rozmowa, jaką miał sam na sam z Gomułką odbyła się na korytarzu sejmowym. Jej sedno sprowadzało się do zdania: „Gdy wyście jeździli po zachodnich uniwersytetach, ja siedziałem w więzieniu”. W 1959 przyszło zdecydowane przykręcenie śruby. Także „na froncie” kulturalnym..

CHUDZIŃSKI: Ale te środki ostrożności nie uchroniły Pana od wyrzucenia z partii.

KOWALIK: No to już były zgoła inne czasy. Zawieszono mnie w marcu '68, a wyrzucono w październiku. Wyrzucała mnie zresztą sama Zofia Gomułkowa wyraźnie bolejąc nad tym, że z takim dobrym pochodzeniem, tak się zmarnowałem. Powiedziała półgłosem coś takiego: „wszedł w zgniłe środowisko inteligenckie”. Bronilem się do ostatniej chwili twierdząc, że moje miejsce jest w partii, bo to ja reprezentuję prawdziwy socjalizm. I wtedy Jan Rychlewski (matematyk, budzi respekt, bo teraz przewodniczy efemerydalnemu Stowarzyszeniu Marksistów Polskich), zaproszony z ramienia POP PZPR PAN na posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej, powiada do mnie tak: Tadeusz, Brus, Kołakowski, Baczko, Zakrzewska – wszyscy są już poza partią. Co ty będziesz robił w partii

bez swoich przyjaciół? To był ostatni argument! Ale to już były inne czasy, inna partia, my inni. Pamiętam pierwszą groźbę usunięcia w 1957 roku. Gdy powiedziałem o niej Brusowi i on zareagował: "no to co?" odetchnąłem, bo ciągle mi się wydawało, że byłoby to równoznaczne z „wilczym biletem”. Tym razem pociągnęło to za sobą małe konsekwencje praktyczne: przestałem być formalnie kierownikiem pracowni edycji dzieł Langego i Kaleckiego, pracowni, o której już mówiłem, ale faktycznym kierownikiem pozostałem nadal. Nie pozwolono mi także na dokończenie badań nad stanem ekonomii w świecie, prowadzonych dla UNESCO. Wcześniej mieliśmy z tego tytułu w Paryżu arcyciekawe dyskusje z wybitnymi naukowcami z innych dyscyplin. W ten sposób np. poznałem Levi-Straussa, Piaget'a. Były to badania, których kierownikiem był początkowo Lange, a brali udział W. Brus i I. Sachs. A i musiałem także zrezygnować z rocznego stypendium Fundacji Forda.

Zresztą, już równoległe do obecności w partii mieliśmy w latach 60. półlegalne spotkania w składzie: Brus, Kołakowski, Baczek, K. Pomian, Tepicht, Janina Zakrzewska, Flora i Władysław Bieńkowski, R. Herczyński i (chyba) Stefan Żółkiewski. Były to ciekawe dyskusje w prywatnych mieszkaniach. Potem wpadliśmy na pomysł, by w mojej pracowni zajmującej się formalnie edycją dzieł Kaleckiego mistyfikować spotkania neutralnymi tematami. Sekretarz I Wydziału, Żółkiewski podpisywał kamuflowane, akademicko brzmiące zaproszenia.

RATKOWSKI: Nie był to krwawy reżim.

KOWALIK: Nie był. Miałem nadal dużą swobodę studiowania, barierą była sprawa publikacji, także problemy z paszportem, wyjazdami zagranicznymi, ale i to się udawało. Interwencje Langego, a po jego śmierci Lipińskiego, Żółkiewskiego skutkowały przynajmniej co drugi raz. W latach 70. wyjeżdżałem np. parokrotnie do Włoch na kilkudniowe studia marksistowskie, organizowane przez znanego socjalistę Lelio Basso. Mając ograniczone możliwości pracy w kraju, korzystałem z wyjazdów stypendialnych. M. in. dzięki temu spędziłem w sześciu różnych krajach zachodnich ponad dziesięć lat. W Czechosłowacji byłbym pewnie tramwajarzem, albo wróciłbym do czapnictwa...

KOZŁOWSKI: Ale zajęć ze studentami Pan nie miał?

KOWALIK: W pewnym sensie na szczęście. Gdy 1965 roku zmarł profesor Dąbrowski z SGPiS, zaproponowano mi pionierską na owe czasy katedrę ekonomii porównawczej. Minister Golański podpisał nominację po uzgodnieniu z Komitetem Wojewódzkim Partii i prodziekan w rozmowie z A. Werblanem, wówczas kierownikiem Wydziału Nauki KC powiedział mimochodem: „Kowalik obejmuje katedrę po Dąbrowskim”, na co Werblan miał zareagować: „Kowalik do studentów? Nigdy!” I podpisana już nominacja została wycofana, jak się miało okazać, dla mnie szczęśliwie. Bo w PAN-ie po ‘68 r. jakoś się utrzymałem, a gdybym był na uczelni, zwłaszcza na SGPiS, to pracę straciłbym na pewno jak wiele innych osób, nawet mniej krytycznych.

„Do studentów” trafiłem na wydziale ekonomicznym UW, na początku lat 70. Też kamuflowaliśmy. Wykładałem specjalny kurs dla ostatniego roku, jak zaproponowałem, Ekonomia a socjalizm. Ale w programie figurowało to: Ekonomia a socjologia... Chciałem jednak, żeby studenci poznawali wybitnych ludzi i na wykład zaprosiłem Edwarda Lipińskiego. Zaraz potem zadziałały specsłużby i na następny rok już propozycji zleconych wykładów mi nie złożono.

Ponownie trafiłem do studentów, ale i do wielu osób w wieku dojrzałym na „Latającym Uniwersytecie”, o którym już wspominałem. Wiązało się z tym wiele emocji, strachu, nasyłania grup „przeszkadzaczy”, zatrzymań. Na szczęście, u mnie odbywało się to bez brutalności, raczej w formie zadawania licznych pytań, nie czekając na odpowiedź. Też zapraszałem Lipińskiego, Bobrowskiego i parę innych osób. Gdy zatrzymano mnie w Poznaniu, na rozmowę ze mną przyleciał jakiś pułkownik z Warszawy Czasem były sytuacje paradoksalne. Nie pozwolono mi pojechać do Wrocławia, gdzie w katedrze miałem mieć wykład o... Roży Luksemburg.

CHUDZIŃSKI: Jak pańskie środowisko odnosiło się w latach siedemdziesiątych do Gierka i jego koncepcji?

KOWALIK: Trudno mi mówić o moim środowisku, bo po 1968 roku ono się rozpadło. Wielu przyjaciół wyjechało zagranicę. Nie tylko ci, którym brutalnie przypomniano, że są Żydami, i to niezależnie od stopnia asymilacji. Zapomina się często, że to była heca antyrewi-syjonistyczna. Wyjechał np. także Janusz G. Zieliński z SGPiS, jeden z pierwszych, który otwarcie głosił poglądy liberalne. W 1970 zmarł Kalecki. Brus dotrwał w kraju do 1972

r., kiedy to wyjechał do Anglii w dramatycznych okolicznościach choroby syna. Bobrowski przebywał więcej zagranicą (głównie w Algierii) niż w kraju.. Został Lipiński, u którego często wtedy bywałem, Helena Hagemeyerowa, jeszcze wówczas młody, a wywalony z SGPiS Jerzy Osiatyński, z którymi pracowałem przy edycji wspomnianych dwóch ekonomistów.

Niezapomniana scena: w kwietniu '68 szliśmy z Brusem Nowym Światem. Brus wysoki. I jeden ze znaczących ekonomistów szedł na przeciwko nas równie wysoki, a dobrze nam obu znajomy. Musiał szukać gwiazd na słonecznym niebie, by nas nie dostrzec. Dochodzimy do Uniwersytetu, spotykamy Klemensa Szaniawskiego, mocnym uściskiem dłoni wita się z nami i w milczeniu szybko odwraca głowę, odchodzi, by ukryć łzy....(chodziło oczywiście o Brusa, który był już wywalony z Uniwersytetu). Wy Krakowianie pojęcia nie możecie mieć, co towarzysko znaczyła tamta dintojra. Mnie też nie poznawali na ulicy niektórzy moi dawniejsi koledzy.

W '71 zrobiliśmy dwutomowy Festschrift (w jednym egzemplarzu) na 50-lecie Brusa. Zarówno wśród autorów maszynopisów, jak i na „uroczystości wręczenia” jubilatowi, z ekonomistów byli chyba tylko Lipiński i Hagemeyerowa. Dominowali tacy ludzie jak Jadwiga i Jan Strzeleccy, Bieńkowscy, (starzy) Nina i Witold Kulowie. W środowisku ekonomicznym byłem izolowany. Obracałem się raczej wśród socjologów, historyków. Powoli powstawało nowe środowisko, z którego wyrósł KOR, inne grupy seminaryjne, lub polityczne, Towarzystwo Kursów Naukowych. Dopiero po kilku latach ocieplała się atmosfera. Chyba właśnie w stolicy później niż gdzie indziej. Następowala liberalizacja bez demokratyzacji. Jeśli chodzi o reformy Gierka, poprawę perspektyw gospodarczych w oparciu o kredyty, to zmyliły one nawet takich ekonomistów, jak Stanisław Gomułka. Brus był sceptyczny, bo ciągle kładł nacisk na demokratyzację polityczną jako warunek poprawy efektywności. Nie mogła się nam podobać reforma zakładająca tworzenie WOG-ów (Wielkich Organizacji Gospodarczych) zapożyczona z NRD. Przecież to wtedy powstała „Polska branżowa”, rozrywana przez grupy interesów.

Jedynym człowiekiem z wybitniejszych, który chciał i umiał grać z władzą, był Józef Pajestka. Wprawdzie z ogromnymi kompromisami, ale nadal bronił, powiedzmy, reformistyczno-rewizjonistycznej koncepcji reform. Wiadomo było, że on jest za jakimś partycypacyjnym socjalizmem.

CHUDZIŃSKI: I tak dochodzimy do drugiej połowy lat siedemdziesiątych, kiedy Pan Profesor zbliża się do KOR-u i w efekcie zostaje doradcą Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej.

KOWALIK: To była raczej bliskość do niektórych ludzi, bo KOR składał się z bardzo różnych indywidualności. Z głównymi postaciami, komandosami, współpraca była trudna. Lubili stawiać nas przed faktami dokonanymi. Manipulować. Znany historyk z opozycji, powiedział kiedyś do jednego z nich: „i z wami trudno współpracować i bez was trudno działać”. Doskonale wyraził to w swoim dzienniku Andrzej Kijowski. Napisał coś takiego, że odczuwał presję, aby pójść w stronę działalności nielegalnej. My też odczuwaliśmy coś takiego. Każdy z nas łudził się, że robi coś pożytecznego, z czego nie chciał zrezygnować. Przychodzi na przykład do nas do domu działaczka, nieco z nami zaprzyjaźniona, bo oczekuje telefonu, chyba z „Daily Express”, by dać wywiad z naszego telefonu. Okazuje się, że już wcześniej umówiła się na ten telefon. To była forma traktowania nas, powiedzmy, dość instrumentalnie. Innym razem, pamiętam, przyszedł do nas Bujak razem z Łuczywo z jakimś tekstem do podpisu. Ale tekst był już zaklepany, nie miałem żadnego wpływu na jego treść. Najpierw podpisałem, a potem odwołałem. Było bowiem w tym coś dla mnie upokarzającego. Chociaż i bałem się m.in. o moje papiery, książki. Właśnie przez taką nieostrożność spowodowano rewizję, i zabrano mi tyle rzeczy (worków), że przeprowadzając rewizję funkcjonariusze zadzwonili o przysłanie posiłku.

KOZŁOWSKI. Ale jednak współpracował Pan z KOR-em.

KOWALIK: Z KOR-em najbliżej współpracowałem w chwili przekształcania się KOR-u w KSS KOR. Kuroń, pisarka Anka Kowalska i ja po burzliwej dyskusji zostaliśmy zobowiązani do napisania nowej deklaracji programowej. Przygotowałem projekt, który Kuroń z miejsca odrzucił, bo (wg. słów Waldemara Kuczyńskiego, z którym wtedy byliśmy blisko, a teraz na antypodach) „na kilometr jechało od tekstu socjalizmem”.

CHUDZIŃSKI: W momencie, kiedy wszedł Pan do grona doradców...

KOWALIK: Wyjazd grupy inteligentów do Gdańska był moim pomysłem. Helena Łuczywo przyjechała z Gdańska przerażona narastającym radykalizmem strajkujących. Mówiła, że tam wrze i może być masakra. Wspominała coś o Andrzeju Gwiazdzie prącym do zwarcia. Powiedziała „róbcie coś, bo będzie katastrofa”. Pochwaliła mój pomysł, by pojechało tam parę „autorytetów”. Ale ja w pierwszej chwili myślałem o rzeczywistych autorytetach, takich, jak Bieńkowski, Gieysztor, Kieniewicz, Kula, Mazowiecki. Moją propozycję zaakceptował Geremek, miał namawiać historyków, mnie został przekonania Mazowiecki i Bieńkowski. Gdy jednak poszedłem do Mazowieckiego, ten zmienił koncepcję. Obawiał się zwłaszcza bardzo autorytarne Bieńkowskiego.

Zaproponował, żebyśmy my właśnie pojechali, sygnatariusze „listu 64”. Perypetie, negocjacje, zachwyty robotnikami, ich poczuciem odpowiedzialności, chwile grozy, opisałem w „Przeglądzie”. Może dla ożywienia, powtórzę najkrótszy dialog. Gdy ze Stoczni szliśmy nocą spać do Ojców Paulinów, słychać było coś w rodzaju żężenia, pewnie pociągu towarowego, myślałem, że to czołgi. Mówię do Geremka, jak myślisz, piętnaście? Geremek: *capita* [15 lat więzienia? głowa]...I potem wielka ulga, wielki kompromis, choć na krótko.

CHUDZIŃSKI: Pytaliśmy kiedyś Karola Modzelewskiego, w takiej samej rozmowie, czy scenariusz wydarzeń prowadził nieuchronnie do tego, co się stało. Czy była możliwość odwrócenia biegu wydarzeń? Mówię o 1981 roku, o stanie wojennym i jego konsekwencjach. Bo o to wciąż toczy się spór...

KOWALIK: Byłem pesymistą. Obie strony konfliktowego do trwalszego kompromisu nie były zdolne. Poza tym, wystartowaliśmy za wcześnie. Gdyby to się stało choć o 5 lat później, za Gorbaczowa. Ale wtedy obie strony były jeszcze niedojrzałe, zarówno psychicznie, jak i intelektualnie nieprzygotowane. Rosja nie chciała, a może i nie mogła tolerować tak obcego ciała. Gdybym nie był tak pesymistyczny, nie wyjechałbym do Stanów Zjednoczonych, gdzie spędziłem cały stan wojenny.

Rosjanie mieli jakąś koncepcję rozwiązania problemu. Nie mogę sobie przypomnieć, a notatki moje zaginęły, czy to było już podczas stanu wojennego, czy przedtem. Seweryn Bialer, który miał bardzo wysokie chody i w Moskwie, i w Departamencie Stanu (a zapewne nie tylko), przyjechał kiedyś do mnie do Waszyngtonu z pilną propozycją, że Rosjanie chcą zorganizować spotkanie z opozycjonistami na „neutralnym” gruncie, czyli na terenie USA.

KOZŁOWSKI: To jakaś fantazja!

KOWALIK: Całkowita! Wyśmiałem to, ale wierzę, że była jednak taka próba, jakiejś frakcji której cele są zresztą zupełnie niejasne.

To jakoś było związane z tym, że w chwili wyjazdu do Waszyngtonu, zostałem zobowiązany do przygotowania wizyty Wałęsy w USA. Te przygotowania przerwaliśmy zresztą na początku listopada, bo zarówno Brzeziński, jak i Nowak Jeziorański nagle zaczęli mnie przekonywać, że przyjazd Wałęsy może się dla niego i dla Solidarności źle skończyć. Że w najlepszym przypadku „ta sfera dziennikarska” jak to Brzeziński określił, rzuci się na biednego Wałęsę, który nagada głupstw, utrudniających mu powrót. Dziś myślę zresztą, że oni już wiedzieli od Kuklińskiego o przygotowaniach do stanu wojennego.

KOZŁOWSKI: Kiedy Pan doszedł do wniosku, że coś na kształt stanu wojennego musi nastąpić?

KOWALIK: Już 9 września 1980, właściwie tuż po podpisaniu porozumień gdańskich, wróciłem do domu załamany. Między Wałęsą a Walentynowicz i obojgiem Gwiazdami stniał głęboki konflikt, w który wciągnięci jeszcze zostali ludzie z KOR-u. Była zresztą próba zerwania porozumień sierpniowych przez gdańskich radykałów.

RATKOWSKI: Czego oni właściwie chcieli?

KOWALIK: To dobre pytanie, czego oni właściwie chcieli?

RATKOWSKI: Za Mickiewiczem: „O wojnę narodów błagamy Cię Panie?”

KOWALIK: Może, ale był to wyraz nastrojów społecznych. Robotników cechowała ogromna nieufność do władzy. Obawiali się, że chce ich wykiwać. A ze strony władz bez przerwy nadchodziły niepokojące wieści. Jeździliśmy po kraju gasić strajki i szło to coraz trudniej. W efekcie wspieraliśmy niektóre z nich, uważając, że w ten sposób osłabiamy nastroje jeszcze bardziej radykalne! Do Solidarności przychodzili coraz to nowi ludzie, którzy chcieli się popisać, nas, także ludzi z KOR-u zdezwuować. Tacy ludzie jak Olszewski, jak Chrzanowski, jak Strzelecki, Siła Nowicki, Kuroń, ja z nimi, domagaliśmy się respektowania porozumień. Ale w Solidarności brały górę konfrontacyjne wiatry.

RATKOWSKI: A nie było w tym, aby prowokacji? Przecież Solidarność chyba była bardzo silnie infiltrowana przez służby?

KOWALIK: Oczywiście. Już podczas negocjacji, musiałem notatki, propozycje, trzymać pod nogą. Mam duszę historyka i chciałem je sobie zachować, a znikwały jak kamfora. To był pierwszy sygnał, że coś niedobrego się dzieje.

CHUDZIŃSKI: Jak Pan reagował na atrybuty żałoby narodowej, eksponowane przez część środowisk artystycznych, w stanie wojennym?

KOWALIK: Cały okres stanu wojennego spędziłem zagranicą, głównie w Waszyngtonie. Z kraju dostawałem sygnały, raczej uspokajające. Pamiętam, że na Uniwersytecie Columbii (w Nowym Jorku) wygłosiłem referat w duchu pojednawczym. Odczytałem m. in. list od Herczyńskiego otrzymany zaraz po jego wyjściu z internowania, opisujący poczucie niepewności obecne po stronie funkcjonariuszy. Wyraźnie dawali do zrozumienia, że im się to też nie podoba, ale muszą wykonywać rozkazy.

RATKOWSKI: A internowanie Gierka wraz z towarzyszami, było czytelnym sygnałem, że rzecz ociera się o groteskę!

CHUDZIŃSKI: Skąd pan profesor wiedział, że – używając słów Wiesława Górnickiego, stan wojenny bardziej przypominał alert harcerski niż krwawy zamach stanu w stylu Pinocheta?

KOWALIK: Otrzymywałem listy, ale też doniesienia z pierwszej ręki od dziennikarzy. Jeden z założycieli CNN, a mój znajomy, nieco zaprzyjaźniony, z Moskwy pojechał do Warszawy, był m.in. u Lipińskiego. Jak powiedział, obaj zgodnie twierdzili, iż stan wojenny jest raczej w Rosji. Również moja koleżanka z Wilson Center, Madelaine Albright (wtedy ją znałem jako socjaldemokratkę, nie spodziewałem się, że wyrośnie z niej Żelazna Dama), którą przygotowywałem do wyjazdu do Polski, wróciła z całkiem znośnymi wrażeniami.

CHUDZIŃSKI: A tymczasem powoli kończy się PRL. I pojawia się nowy problem – po wyborach czerwcowych blok solidarnościowy zaczyna pękać. Jak Pan Profesor odnajdował swoje miejsce w tamtym momencie, jak rozchodziły się drogi różnych ludzi z Solidarności?

KOWALIK: Z najwyższym niepokojem przyjąłem zwrot polityczny w Solidarności latem 1989 r. Zdarzyło się tak, że letni tremestr wykładałem na New School w Nowym Jorku. Wróciłem pod koniec sierpnia akurat na spotkanie OKP w sali kolumnowej Sejmu, gdzie przez półtorej godziny przedstawiał swoją koncepcję skoku w gospodarkę rynkową Jeffrey Sachs. Uderzała mnie, podkreślona wyróżnionym miejscem siedzenia, obecność późniejszego republikańskiego kandydata na prezydenta, znanego mi pogromcy państwa opiekuńczego, senatora Roberta Dole'a z małżonką. Totalne uwolnienie cen, natychmiastowa wewnętrzna wymienialność złotego i otwarcie na świat miało, zdaniem Sachsa, po sześciu miesiącach przynieść stabilizację i wejście na drogę szybkiego rozwoju. Wprawdzie nikt poza Kuroniem nie poparł tej koncepcji, ale też nikt, także żaden z zaproszonych ekonomistów nie podjął polemiki. Jak gdyby nie było wcześniejszych *Porozumień Okrągłego Stołu*, które zapowiadały tworzenie „nowego ładu ekonomicznego”, ale z zachowaniem gradualizmu oraz utrzymanej w tym duchu wyborczej deklaracji Solidarności. Było to dla mnie uderzające, bo byłem przekonany o dużej popularności w Polsce, w szeregach Solidarności, zachodniemieckiego modelu „społecznej gospodarki rynkowej”. Wiedziałem też, iż jeszcze na początku tego roku przebywała w Szwecji, z ramienia Konsultacyjnej Rady Gospodarczej, kilkusobowa grupa studyjna dla zbadania możliwości wykorzystania doświadczeń szwedzkich. Straszna szkoda, że Niemcy byli wówczas tak zajęci sobą, a dawni najeźdźcy, Szwedzi stali się tacy nieśmiali....

Gwałtowny zwrot został dokonany latem 1989 roku, przy dużym współudziale, wręcz ekspansji samonominujących się doradców amerykańskich. Znam przypadek, że pewien *graduate student* chciał koniecznie dotrzeć przede mną do rządu ze swoimi odkrywczymi pomysłami. Niedługo później, minister prywatyzacji, Waldemar Kuczyński będzie się chwalił, iż u niego w resorcie, na korytarzu angielski słyszy się równie często jak polski. Dodajmy - z amerykańskim akcentem.

KOZŁOWSKI: Nazywano ich „Brygada Marriotta”.

KOWALIK: Która trafiła na panującą w kręgach władzy atmosferę brawury, graniczącej z brakiem odpowiedzialności społecznej. To zaszokowało nawet pewnego eksperta Banku Światowego. Gdy zapytał wysokiego funkcjonariusza Ministerstwa Finansów o przewidywane bezrobocie, usłyszał: nie wiemy ilu będzie, może milion, może dwa, może

trzy, a może wcale. Opowiadając to, dodał załamującym się głosem, że ci ludzie nie wiedzą o czym mówią.

W tej atmosferze ukształtowanej przez łatwość zwycięstwa politycznego (rosyjskie: *szapkami zakidajem*) zrodził się szatański pomysł wielkiego skoku w gospodarkę rynkową, zwanego szokową terapią. Rezultat musiał być opłakany, w laboratoryjnie czystej postaci potwierdzający Karla Poppera pogląd, że socjotechniczne projekty wielkich zmian przynoszą równie wielkie zmiany nieoczekiwane i niepożądane. Rozziew między założonymi celami i rezultatami wynosił kilkaset procent. Żaden plan PRL-owski nie doświadczył takiego rozziewu jak Plan Balcerowicza.

CHUDZIŃSKI: Nawet plan 6-letni?

KOWALIK: Także ten. Przykłady? Dochód narodowy miał spaść 3%, spadł w pierwszym roku o 11, a w drugim o 8%. Spadek produkcji przemysłowej przewidywano na 5%, a rezultat 25%. Mówiono o 400 tysiącach bezrobotnych, skończyło się na trzech milionach, nie czasowego, lecz permanentnego. We wszystkich tych przypadkach rozbieżność ponad 500 procentowa. Inflacja już pod koniec owego „roku zero” miała być jednocyfrowa, a stała się taka po dziewięciu latach!

Pytał mnie Pan jak ja się w tym znalazłem. Wydawało mi się, że robiłem co należało. Brałem udział w dyskusjach. Podpisany przez W. Herera, Władysława Sadowskiego i mnie, memoriał dający się streścić w zawołaniu: „nie wszystko na raz!”, zaniósłem do biur nadawczych premiera, ministra finansów, szefa CUP-u, Geremka jako szefa frakcji OKP w Sejmie. I tylko ten ostatni, na schodach kościoła, przy okazji pogrzebu wspólnego przyjaciela, podziękował mi, a nawet powiedział: „musimy o tym pogadać”. Milczenie było tym wymowniejsze, że wszyscy ci szefowie byli moimi kolegami lub przyjaciółmi. Ale jak jesteś poza strukturami władzy, możesz mówić do obrazu....

KOZŁOWSKI: **Wówczas dominowało wśród zawiadowców wielkiej zmiany przekonanie, iż trzeba przekroczyć pewną masę krytyczną, aby powrót do realnego socjalizmu był niemożliwy.**

KOWALIK: To zgoda, ale o powodzeniu zdecydowała ostatecznie *jakość* owej masy krytycznej. Przecież psychicznie realny socjalizm powrócił. W badaniach większość respondentów uważa, że wtedy żyło się lepiej. A poza tym, były także inne czynniki. Także neofityzm. Okazało się, co doskonale pokazał Karol Modzelewski w swojej książce, że czołówka intelektualistów, uważana za reprezentację świata pracy, zmieniła poglądy o 180 stopni. Byliśmy w pułapce zadłużenia, co wierzycieli upoważnia do pewnej hucpy, chęci i łatwości narzucania pewnych rozwiązań. Chociaż uważam, że mieliśmy mocne atuty przetargowe i mogliśmy je wykorzystać.

Ale nie chcieliśmy. Znów, ku zaskoczeniu ekspertów MFW przyzwyczajonych do tego, że negocjacje z władzami krajów Trzeciego Świata są bardzo trudne, z trzech wariantów przedstawionych przez owych ekspertów, ówczesny polski rząd wybrał jednomyślnie najostrożniejszy, najdalej idący. Zawiodła nawet znajomość powszechnych kanonów negocjacji. Wariant skrajny zwykle przedstawia po to, by w czasie negocjacji mieć z czego zrezygnować. W ogóle, następowała niespodzianka za niespodzianką. Przywódca robotniczy, Lech Wałęsa zaakceptował Plan Balcerowicza zanim ostatecznie został sformułowany, a po kilku latach pytany, czy Mazowiecki lub Balcerowicz dostarczyli mu ten program, fundamentalny przecież dla stopy życiowej milionów ludzi, niefrasobliwie odpowiada: „Nie pamiętam, chyba nie...” I parlament, przypominam, z kontraktowym Sejmem o większości starego układu, uchwalił pakiet ustaw składający się na ów program, a jedyne „racjonalne” wyjaśnienie dał ówczesny wicemarszałek Sejmu, Aleksander Małachowski: „Byliśmy jak barany prowadzone na śmierć...”

Szybko pojawiła się jednak grupka posłów i senatorów, wspomniany Małachowski, Modzelewski, Bugaj, coraz otwarciej krytycznych wobec polityki rządu. Niestety, bez Kuronia, który oświadczył, że zawiesza na okres budowy fundamentów kapitalizmu swoje lewicowe poglądy... Od dziesięciu jednak lat przyznawał w takiej, czy innej formie, że to było największe głupstwo, które zrobił w życiu!

CHUDZIŃSKI: Nam też to powiedział w podobnej rozmowie.

KOWALIK: Powtarzał wielokrotnie, że przegrana robotników nie daje mu spać.

RATKOWSKI: Wówczas nastąpiła eksplozja naszego „kapitalizmu łóżkowego”.

KOWALIK: Rozkładane łóżka, szczęki, kantory, słowem Eldorado dla nowego prywatnego sektora to była jedna strona. Druga to zalew nie oclonego, nie opodatkowanego towaru z importu, który zniszczył polskie rzemiosło, handel spółdzielczy i państwowy. Razem z paroma innymi działaniami i procesami, jak drastyczna redukcja oszczędności pieniężnych, słynny „popiwek”, czyli drakoński podatek od przyrostów płac przy wysokiej „korekcyjnej inflacji”, rodziły mocno spolaryzowane społeczeństwo, społeczeństwo pierwotnej akumulacji kapitału. Udział płac w dochodach ludności spadł w ciągu czterech lat spadł z ponad 46% na 28%, o połowę spadły dochody rolników, a dochody osób pracujących na własny rachunek więcej niż podwoiły się. Tak więc, owa głęboka recesja, często zwana „transformacyjną”, czyli uważana za konieczny koszt zmian, była raczej recesyjną transformacją, czyli zmianą za pomocą recesji jako narzędzia budowy nowej struktury społecznej. Oczywiście, niezależnie od tego, czy odpowiadało to pierwotnej intencji władz.

KOZŁOWSKI: **Wtedy ugruntowało się myślenie, że kapitalizm jest po prostu czymś dobrym, a fatalny realny socjalizm utożsamiano z komunizmem. Zatem im dalej idziemy w wolny rynek, tym lepiej!**

KOWALIK: Uważano także, że im dalej skoczymy w wolny rynek, tym większą otrzymamy od Zachodu pomoc finansową. Ale przecież mówimy o zmianie instytucji, a więc i zasad postępowania ludzi, a nie o zmianie maszyn. Miała ona także ten fatalny skutek, że niszczycielsko działała na NSZZ „Solidarność”, w imieniu której owych zmian dokonywano. Bez uwzględnienia tego faktu nie można zrozumieć trwającej degrengolady tego ruchu społecznego.

RATKOWSKI: **I pojawiła się zupełnie nowa klasa. Nie byli to już peerelowscy badylarze czy rzemieślnicy. Te grupy w istocie też zniknęły w procesie zmian...**

KOWALIK: I co jest ciekawe, chyba unikalne, przynajmniej w Centralnej Europie, że aż 40% nowych właścicieli-przedsiębiorców (ich liczba szybko się podwoiła), to byli ludzie o podstawowym wykształceniu. Tym m.in. tłumaczyć należy XIX-wieczne stosunki pracy w wielu drobnych i średnich firmach.

KOZŁOWSKI: Czy nie ma Pan wrażenia, że w ostatnich latach kilka ważnych publicznych dyskusji się nie odbyło? Około roku 1990 to wybór systemu i sposób wychodzenia z poprzedniego ustroju, a teraz stosunek do Maastricht. My tymczasem dyskutujemy o preambule, a o tym co najważniejsze, nie rozmawiamy wcale.

KOWALIK: Całkowita zgoda. W 1989 nie było możliwości poważnej dyskusji na temat wyboru systemu. Wtedy dominował pośpiech, ale to nie wyjaśnia wszystkiego, skoro jest to trudne nawet teraz, gdy krytycyzm społeczny jest ogromny. Tylko kilka procent respondentów uważa, że przemiany idą w dobrym kierunku. Podobnie jak w sprawie wojny w Iraku, większość społeczeństwa jest przeciw temu, co się dzieje, Jednak gdy przychodzi formułować program, co należy robić, z sensownymi rozwiązaniami niezwykle trudno się przebić.

Projekt europejskiej konstytucji był dobrą okazją, by podjąć poważne problemy. Przecież już na wstępie (art. 3), projekt deklaruje politykę pełnego zatrudnienia i społeczną gospodarkę rynkową, jak w Konstytucji RP. Dobra więc okazja, by się o te wartości upomnieć. Zastanowić się, jak to miałyby wyglądać. Skonfrontować z tym ładem społecznym, jaki się u nas wyłonił. Jeszcze gorzej jest z zorganizowanym naciskiem na władze, domagającym się zmiany polityki społeczno-gospodarczej. Mając w swym ręku „przekaziory”, neoliberalowie umiejętnie wykorzystują wyniesioną z przeszłości awersję do państwa w ogóle, konieczność - często rzekomą - dostosowania się do reguł Unii Europejskiej oraz straszak kryzysu finansowego, żeby bronić status quo, a nawet dalej ograniczać transfery socjalne. Osłabia się państw milcząco zakładając, że to ciągle państwo z PRL-wskim rodem.

RATKOWSKI: Ale po wejściu do Unii Europejskiej stajemy się częścią ogromnego mechanizmu, który samą swoją wielkością już pełni rolę stabilizatora.

KOWALIK: Stabilizatora politycznego tak, ale czy ekonomicznego? Główne kraje Unii poza Anglią od lat przeżywają półstagnację. Odżyły i pogłębiły się wahania cykliczne. Ale najważniejsze jest to, że UE zaleca samobójczą, prorecesyjną politykę makroekonomiczną. Stabilne ceny za wszelką cenę, cięcie wydatków socjalnych, to ma być lekarstwo z apteki w Maastricht. Obecnie obserwujemy ciekawy paradoks. Gdyby deficytem budżetowym posłużono się dostatecznie wcześniej w celu pobudzenia gospodarki, to teraz nie mielibyśmy w szeregu krajów deficytu wymuszonego przez przeciągającą się recesję. Dlaczego uniknęła

jej Wielka Brytania? Bo gdy za Oceanem pękła bańka giełdowa, gdy zaczęła się tam recesja, to rząd Blaira zwiększył wydatki społeczne (na edukację i na zdrowie), pobudził więc popyt krajowy. Blair jest szczęściarzem, że ma tak świetnego ministra finansów, jakim jest Gordon Braun.

CHUDZIŃSKI: A myśmy otwarli wrota na oścież.

KOWALIK: Nie tylko my. Właściwie wszystkie europejskie kraje po-komunistyczne, prócz Słowenii. Dlatego skutki napływu obcego kapitału są tak przygnębiające. Stowarzyszenie Inicjatyw i Badań Społecznych ogłosiło właśnie rezultaty badania nad wpływem bezpośrednich inwestycji zagranicznych na wzrost gospodarczy. Okazało się, że w ośmiu krajach pokomunistycznych wstępujących do UE, poza Węgrami, im większa suma inwestycji zagranicznych (w stosunku do PKB) tym ...niższa stopa wzrostu. Dlaczego? Bo przeważała prywatyzacja, a nie nowe inwestycje, i głównie w handlu, a nie w produkcji.

Często przywoływana jest Irlandia jako wzór dla nas, ale Irlandia miała to szczęście, że zaczęła wprowadzać swój program przyspieszenia, zanim wszedł w życie Traktat z Maastricht, a zwłaszcza amsterdamski. Umiała wykorzystać fundusze unijne. Dokonała skoku rozwojowego nie dzięki zastosowaniu zaleceń Unii, lecz przeciwnie, dzięki niesłuchaniu interwencjonistycznej polityce w jej pierwszej fazie. Promowała obcy kapitał tylko w czterech najnowocześniejszych sektorach, dając rzeczywiście wielkie przywileje, zniżki, zwolnienia podatkowe, ale tylko wyselekcjonowanemu, pożądanemu kapitałowi obcemu.

KOZŁOWSKI: Z punktu widzenia rozwoju gospodarczego nasze wejście do Unii wcale nie musi oznaczać, że będziemy krajem mniej peryferyjnym, a nawet odwrotnie!

RATKOWSKI: Nie wierzę!

KOWALIK: Też chciałbym nie wierzyć. Wejście do Unii ogranicza nam prowadzenie własnej, odrębnej polityki gospodarczej. I tu jest wielkie wyzwanie. Gdyby władze Polskie przedstawiły Unii dramatyczną sytuację Polski z jej dwudziestoprocentowym bezrobociem i ponad czterdziestoprocentowym wśród młodzieży, może na pewien ściśle określony czas pozwolono by nam, a nawet pomóżono wyjść z tej dramatycznej sytuacji. A to zakłada daleko idący interwencjonizm. Mamy mocne argumenty. Ale trzeba przestać dowodzić, że Polska jest krajem sukcesu transformacyjnego, natomiast lojalnie poinformować (ostrzec) władze

UE, że Polska z tak wysokim bezrobociem, zwłaszcza młodzieży, może zarazić Unię patologiami, przestępczością! Już jesteśmy dobrzy w wytwarzaniu amfetaminy, kradzieży samochodów. A przecież możemy masowo ruszyć na Zachód nie tylko w poszukiwaniu pracy. Zakłada to, oczywiście, także mądrość i determinację władz polskich. Tymczasem postulaty, nawet Grzegorza Kołodki, czego już zupełnie nie rozumiem, idą w odwrotnym kierunku. Spieszno nam do wejścia do eurolandu, czyli rezygnacji z własnej polityki monetarnej. Co jest dobre dla krajów ustabilizowanych, o kilkuprocentowym bezrobociu, ale nie dla nas.

KOZŁOWSKI: Ale finansowa pomoc....

KOWALIK: To właśnie jeszcze jeden pro-unijny mit: nadzieje na znaczne efekty rozwojowe wynikające z dopływu funduszy strukturalnych. Tymczasem są liczne już obecnie badania ukazujące, że dotychczasowa strategia polityki wyrównywania regionów Unii poniosła całkowitą klęskę. Nie zmniejszyła się rozpiętość między bogatymi i biednymi regionami. A zmniejszała się dawniej, przed wejściem do Unii. Zmniejszała się także w ramach EFTA.

Mówię tu regionach, nie o krajach, bo gospodarki Portugalii i Hiszpanii nieco zbliżyły się do poziomu Unii. Ale uwaga. Mają obecnie tempo wzrostu gospodarczego słabsze niż przed wejściem do Unii! Statystyka jest tu bezwzględna! Portugalia, Hiszpania, a nawet Grecja szybciej zbliżały się do bardziej rozwiniętych krajów Unii niż obecnie. A przecież my będziemy otrzymywali na początek skromniejsze fundusze niż tamte kraje.

Niebezpieczeństwo dalszej peryferyzacji Polski jest realne. Właśnie wróciłem z międzynarodowej konferencji w Poznaniu, gdzie badania, wraz z odpowiednimi symulacjami, przedstawili dwaj Francuzi ze szkoły „regulacji” w ekonomii. Dowodzą oni właśnie, że regionalna rozpiętość w Unii wzrasta. Ich zdaniem, w przyszłości na doganianie mają szansę tylko najbardziej rozwinięte kraje wchodzącej dziesiątki, to znaczy Czesi i Węgrzy.

CHUDZIŃSKI: To znaczy, że jesteśmy skazani na „dwie prędkości”?

KOWALIK: Może tu warto wyjaśnić, co rozumiemy przez „dwie prędkości”. Ono powstało w związku zagadnieniem tempa pogłębiania integracji. Francja i Niemcy chcą to robić

szybciej. Najbardziej opiera się temu Wielka Brytania i chyba Szwecja. Nie widzą celu, skoro poza eurolandem radzą sobie z gospodarką lepiej niż dwunastka z euro. Mało kto liczy na to, że kraje teraz wstępujące są zdolne do rzeczywistego zmniejszania różnic systemowych, chyba że za miernik integracji przyjmuje się stopień urynkowania, zwłaszcza sfery usług publicznych.

Drugie rozumienie „dwóch prędkości” może być związane z dość drastycznym podziałem dużych krajów Unii, cierpiących na półstagnację (*eurosklerozę*) i kilka krajów małych, jak Dania, Finlandia, Szwecja, Holandia i Irlandia, którym tego zarzucić nie można. Co więcej, Finlandia, a potem Szwecja znalazły się na pierwszym miejscu gospodarek „opartych na wiedzy”. A jeszcze inne rozumienie dwóch prędkości wiązane jest z pragnieniem słabszych ekonomicznie krajów dogonienia, albo przynajmniej zbliżenia się pod względem dochodu narodowego na głowę, do czołówki zachodniej, o czym mówiliśmy.

KOZŁOWSKI: Jaki zatem wybraliśmy system?

KOWALIK: Dziewiętnastowieczny kapitalizm. Mocno korupcyjno-klientelistyczny.

RATKOWSKI: Czy inne kraje, z tych wchodzących do Unii, wybrały inne rozwiązanie?

KOWALIK: Syndrom polskiej szokowej terapii (Kołodko słusznie pisał o szoku bez terapii) miał ogromne znaczenie jako wzorzec dla innych krajów. Zresztą przy udziale tych samych ekspertów, a więc był to również wzorzec narzucony.. Ale jest jeden kraj w Europie i dwa w Azji, które wybrały inną drogę i idą nią z wielkim sukcesem. Słowenia nie przeżyła transformacyjnego szoku. Duża w tym zasługa b. wicepremiera, z wykształcenia i zawodu ekonomisty-ekonometryka Jose Mencingera. Człowieka z charakterem, który umiał odejść z rządu, gdy nie zgadzał się z receptą Sachsa. Mencinger wielokrotnie opisywał doświadczenie tego małego, ale najbardziej wśród krajów pokomunistycznych rozwiniętego kraju. Jeśli się to doświadczenie bierze pod uwagę, to nie można pozbyć się ewolucyjnego doświadczenia Chin za pomocą odwołania się do specyfiki kraju zacofanego, w przeważającej mierze rolniczego, ani Wietnamu o podobnej strukturze.

CHUDZIŃSKI: Co realnie można zrobić dla poprawy naszej sytuacji?

KOWALIK: Na dużą skalę rozwinąć budownictwo mieszkaniowe przy znaczącej roli państwa. Mamy także huk roboty z naprawą i budową dróg, zalesianiem, regulacją rzek...

RATKOWSKI: Przepraszam, ale budownictwo mieszkaniowe, jako koło zamachowe gospodarki, zostało wpisane w program SLD.

KOWALIK: Ale na tym się skończyło. Dla wielu liczy się przede wszystkim równowaga budżetowa i spieram się na ten temat nawet z moimi przyjaciółmi.

RATKOWSKI: Musimy budować drogi...

KOWALIK: Właśnie. Drogi, właśnie zwykłe drogi są u nas z wielu punktów widzenia znacznie ważniejsze niż autostrady. Naprawa i budowa zwykłych dróg jest bardziej pracochłonna, ważniejsza i pozwala zabsorbować bezrobocie. Ale tu wszystko zależy od państwa. Domagając się tego, jestem w dobrym towarzystwie. Noblista, były szef doradców Clintona i wiceprezes Banku Światowego oświadczył niedawno, że istnieją dwa główne koordynatory gospodarki: rynek i państwo, dodając, że było błędem traktowanie tego drugiego jako czegoś z istoty gorszego. To państwo, władze centralne i lokalne, musiałyby wziąć na siebie współfinansowanie np. wszystkiego co w mieszkaniówce jest pod ziemią.

KOZŁOWSKI: Czołowi przywódcy SLD i oczywiście innych partii, gdy słyszą takie poglądy, to mówią: „Chcecie powrotu do PRL-u”!

CHUDZIŃSKI: U nas uważa się, że to archaiczna droga.

KOWALIK: No właśnie, pytanie czy te dwie wizje – powiedzmy Reaganowsko-Tatcherowska z wolnym rynkiem, a z drugiej strony lepperyzm, zostawiają w Polsce przestrzeń dla czegokolwiek innego? A jeśli chodzi o przywódców SLD, to ciągle górę bierze chęć wkupienia się w łaski liberalnych salonów, kompleksy byłych komunistów. Naiwna próba pokazania, że jest się nowoczesnym.

CHUDZIŃSKI: Wielu powiada, że musimy przejść przez ten czyściec! Czy nie obawia się Pan, że znajdzie się w złym towarzystwie?

KOZŁOWSKI: Profesor Kowalik zawsze był w „złym towarzystwie”!

KOWALIK: Dzwonił do mnie doradca Lepera z pytaniem, czy nie zechciałbym współpracować... Odpowiedziałem, że nadal jestem wierny Unii Pracy choć przestałem być jej członkiem).

CHUDZIŃSKI: Ale na roboty publiczne też potrzebne są pieniądze! Skąd je wziąć?

KOWALIK: Obaj z Pawłem Kozłowskim jesteśmy „kaleckistami” i wiemy, że inwestycje finansują się same. Tylko na pierwszy rozruch potrzebne są pieniądze, ludzie wytwarzają dochód narodowy, płace... Mnożnikowa kumulacja tych procesów poprawia sytuację. Pamiętam, że jeszcze w 1991 r. na kongresie ekonomii ewolucyjnej w Wiedniu, kiedy u nas zaczynało się masowe bezrobocie, zmarły niedawno jeden z wybitniejszych ekonomistów światowych wręcz krzyczał do nas, Polaków (Hausner był tam obecny) „macie stal, macie cement, ogromny nie wykorzystany aparat produkcyjny, nadmiar siły roboczej. Budujcie mieszkania, drogi. Czego jeszcze potrzebujecie? Pieniądzy? Ależ to problem techniczny!”

A w polskim parlamencie, mniej więcej wtedy, największe brawa dostał poseł Jerzy Osiatyński, gdy powiedział: potrzeba nam trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy!.

Nie musimy wcale poddawać się magii równowagi budżetowej. Za całe ośmioletnie rządów Reagana przeciętny (!) deficyt budżetowy wynosił nieco mniej niż pięć procent!

RATKOWSKI: Czesi mieli 8,4 proc, deficytu budżetowego w roku ubiegłym. 5,2 mieli Węgrzy, 5,7 my... I nie slyszalem, żeby Czesi rozpaczali.

KOWALIK: Na ten cel powinniśmy byli i możemy zaciągać pożyczki, szczególnie przy obecnej niskiej stopie procentowej na Zachodzie, zwiększyć trochę deficyt. Poprzez wzrost zatrudnienia, wzrost dochodu narodowego, wzrost dochodów budżetu, możemy doprowadzić do poprawy finansów publicznych. Ta droga jest znacznie bezpieczniejsza, trwalsza. To droga dobrze znana i wypróbowana. Droga Kaleckiego, Keynesa dziś stosowana przez Alana Greenspana, Gordona Browna.

KOZŁOWSKI: Gdyby Pan miał decydować, to co wybrałby? Model skandynawski? Czy stać nas na model skandynawski, nawet jeśli nie poddawać się natarczywej propagandzie, że się rozpada, lub należy do przeszłości?

KOWALIK: Czy stać nas? Gdy Szwecja zaczynała go tworzyć, była równie biedna jak ówczesna Polska, znacznie biedniejsza, niż obecna. Ale ja widzę wiele dobrych, w niektórych sprawach lepszych, niż w Szwecji, rozwiązań także w Austrii, w niemieckim modelu społecznej gospodarki rynkowej. Mogliśmy korzystać z doświadczeń wszystkich trzech modeli. Chodzi mi o typ ustroju kooperacyjnego, partycypacyjnego, solidarnościowego.

KOZŁOWSKI: A więc inny sposób akumulacji, inny sposób dystrybucji.

KOWALIK: Także inny sposób korzystania z nowoczesnych technik informatycznych. Może ona służyć równie dobrze ogłupianiu, głównie rynkom finansowym, które destabilizują świat. Ale też może być wykorzystywana głównie dla szkół i edukacji dla dorosłych, szpitali, wrywaniu wsi z izolacji, poszerzaniu demokracji. Jakież to było symboliczne, że parę lat temu nasycenie szkół komputerami w Szwecji było większe niż w ojczyźnie komputerów, Kaliforni. A skoro już wymieniamy te dwa kraje, dodajmy, że jeśli Szwecja ma mniej niż 3% dzieci żyjącej w biedzie, a USA ponad 20% to to są dwie różne cywilizacje. Obserwowałem a peryferiach Sztokholmu jak dzieci arabskie, azjatyckie szybko się integrują, bo mają możliwość spędzania czasu w czytelnich, domach gier z przewagą inteligentnych, a nie na ulicy. Natomiast w Waszyngtonie i Los Angeles, gdzie spędziłem w sumie trzy lata, biali tworzą zupełnie inną, zamkniętą społeczność. Tylko trochę mniej to dotyczy hiszpańskojęzycznych. Cóż więc z tego, że dochód na głowę Szweda jest znacznie niższy niż w USA, skoro wszystkie wskaźniki jakości życia ma ona lepsze.

KOZŁOWSKI: Spędził Pan dziesięć lat na Zachodzie, jakie główne wnioski Pan wyciąga dla Polski?

KOWALIK: I to w tak różnych krajach, jak Austria, Szwecja, Anglia, USA, Kanada, Szwajcaria (co najmniej po jednym roku szkolnym). Co prawda tylko na uczelniach i w instytucjach, ale miałem możliwość dobrej obserwacji. Najważniejszy wniosek jest taki: nie ma jednej gospodarki rynkowej, jednego kapitalizmu. Mam chęć powtórzyć za Wiesenthalem, który powiedział w innym kontekście: żyjemy pod terrorem pojęć ogólnych. Rynek, kapitalizm, państwo, globalizacja to nasze więzienia myślowe. A świat jest zróżnicowany i dalej się różnicuje. Nie zmierzamy do jednego ustroju społeczno-ekonomicznego. Nawet

wewnątrz Unii Europejskiej specjalista (Bruno Amable) wymienia cztery „typy” kapitalizmu: rynkowy, socjaldemokratyczny, kontynentalny, śródziemnomorski. Nie jest więc tak, że wejście do Unii rozwiązuje nam problem wyboru, kształtowania własnego systemu instytucjonalno-organizacyjnego.

KOZŁOWSKI: No i pojawia się problem Polski po jej wejściu do wspólnoty europejskiej.

KOWALIK: Tu pomysły są szalone. Pani minister Danuta Hübner zawarła w imieniu UKiE, a więc „lewicowego” rządu, umowę z prywatnym Instytutem Badań nad Gospodarką Rynkową, tworząc Polskie Forum Strategii Lizbońskiej. Instytut ma opinię intelektualnej przybudówki dawnych konserwatywnych liberałów gdańskich. Cel tego dziwnego sojuszu jest jasny. Wejść do Unii z misją dalszego urynkowienia gospodarek Unii Europejskiej. Kierownik tej przybudówki Jan Szomburg wielokrotnie zalecał model amerykański, w dodatku, wyidealizowany, taki jak w podręcznikach, bo w życiu daleko odbiega od podręcznikowego ideału. A głównie chodzi o ograniczenie transferów socjalnych, komercjalizację usług publicznych i elastyczność rynku pracy.

CHUDZIŃSKI: To, co Pan mówi, współbrzmi z argumentami populistów, którzy straszą Unią na potęgę.

KOWALIK: Ale także z głosami ogromnej ilości ekonomistów amerykańskich, angielskich, szwedzkich. Także ze stanowiskiem Vaclava Klause. Jestem za Unią jako związkiem kooperacji państw narodowych. Pod względem ekonomicznym, trochę więcej niż wspólny rynek USA, Meksyku i Kanady (NAFTA), ale znacznie mniej - jeden jedyny, zunifikowany system społeczno-ekonomiczny. Bronię systemowej czy ustrojowej, różnorodności, co uważam za wartość, o którą warto zabiegać. Doceniam, na długą metę, korzyści kulturowo-cywilizacyjne, ale takiej właśnie, zróżnicowanej Unii – związku kooperujących ze sobą państw narodowych. Ale nie nowego, europejskiego supermocarstwa. Proszę pomyśleć, co by się stało, gdyby przedwojenna Liga Narodów doprowadziła do powstania Stanów Zjednoczonych Europy. Czy „Genewo-kraci” pozwoliliby na takie epokowe innowacje ustrojowe, jak model skandynawski, społeczna gospodarka rynkowa w Niemczech, partnerski system w Austrii?

Zresztą, pod tym względem jestem optymistą: świat się globalizuje (głównie pod względem technologicznym, wzorców konsumpcji), ale i różnicuje. Czy pod względem ustrojowym silniejsza jest tendencja do konwergencji niż do dywergencji, trudno w tej chwili powiedzieć. Jest jednak raczej pewne, że gaśnie oślepiające światło unifikującego hiper-mocarstwa, co ułatwi dostrzeżenie różnorodności i docenianie jej.

RATKOWSKI: Ale przecież polskie społeczeństwo zmierza do Unii opiekuńczej, socjaldemokratycznej, takiej jaką pamiętamy sprzed paru lat...

KOWALIK: Niestety, nie ma (już? czy jeszcze?) takiej Unii. Jacques Delors poniósł klęskę, a krótki epizod rządów socjaldemokratów w trzynastu krajach piętnastki nie został wykorzystany do powrotu dla koncepcji Delorsa.

KOZŁOWSKI: Czy mógłby Pan spojrzeć na Polskę po 45 roku jako na pasmo trudnych modernizacji, z transformacją ustrojową włącznie.

KOWALIK: O obecnej transformacji mówiłem i pisałem wystarczająco dużo. A o poprzedniej? Aż do lat 60. dokonywał się postęp edukacyjny i ogromny awans cywilizacyjny wsi. Głównie wsi, kosztem dawnej arystokracji robotniczej. Fachowców z wielkich zakładów, kolejarzy. To niewątpliwe. Ale problem jest w czym innym. Biurokracja partyjno-państwowa stworzona dla potrzeb narzuconej industrializacji już nie ustąpiła. Nie była zdolna do zreformowania ustroju, a i sama nie dała się zreformować. Właściwie to właśnie był największy koszt tamtej transformacji i modernizacji. Nie był to socjalizm, lecz komunistyczny substytut kapitalizmu, cokolwiek o sobie głosił.

RATKOWSKI: Nowa klasa Djilasa?

KOWALIK: Coś w tym rodzaju. W Polsce nazywa się ją nomenklaturą. Reformatorzy w partii i rządzie byli zakładnikami tej nomenklatury, dlatego musieli się w końcu odwołać do demokratycznej opozycji.

CHUDZIŃSKI: Jaki udział w tym wszystkim ma polska lewica. Co mogła zrobić w okresie transformacji? Prezydent Kwaśniewski twierdzi... (przerywa TK)

KOWALIK: Zaskoczę Panów. W czerwcu 1990 roku znaleźliśmy się – Brus, Kwaśniewski, Ziółkowska i ja na konferencji Unii Europejskiej w Brukseli poświęconej polskiej transformacji. Prowadził tę konferencję Jacques Delors. Po wystąpieniu przedstawiciela naszego rządu wygłosiłem bardzo ostrą krytykę planu Balcerowicza i poparł mnie tylko John K. Galbraith. Nawet mój przyjaciel Brus powiedział, że nie doceniam trudności. W przerwie podszedł do mnie Aleksander Kwaśniewski (wówczas szef SdRP), z którym nigdy nie rozmawiałem wcześniej, i zaczął tak: Może to być dla Pana przykre [miałem wówczas gombrowiczowską gębę „solidarucha”, który powinien źle się czuć z komplementami „komucha”], ale ja się z Panem całkowicie zgadzam. Sądzę zresztą, że w tym duchu musiał rozmawiać z Delorsem, gdyż ten nie napisałby tak do władz polskich tylko po moim wystąpieniu. A napisał coś w rodzaju: „operacja może się udać, ale pacjent zemrze” (ujawniła to „ResPublica”). Parę lat później Prezydent Kwaśniewski będzie powtarzał, że Balcerowicz na trwale wejdzie do podręczników historii, jako... i tak dalej. Stał się jednym z gorętszych głosicieli „polskiego sukcesu”.

Co powinna była robić lewica? Być lewicą. Mówić głośno tak jak Aleksander Małachowski, Karol Modzelewski, Ryszard Bugaj, nieco później (i do wejścia w skład Rady Polityki Pieniężnej) Wiesława Ziółkowska, przed-rządowy Marek Pol. I działać w tym duchu.

CHUDZIŃSKI: Prezydent Kwaśniewski twierdzi, że w 1990 roku polska lewica nie miała innej możliwości jak poprzeć plan Balcerowicza!

KOWALIK: Ale Pan chyba nie zakłada, że Prezydent Kwaśniewski to lewica. Przecież to Pan Prezydent wynagrodził Leszka Balcerowicza prezesurą NBP za przerwany program demontażu państwa opiekuńczego (zwany Średniookresowym Planem Finansowym). A w jednym z wywiadów powiedział, że obciążanie banku centralnego zadaniem utrzymania wzrostu, zatrudnienia, to „jakiś absurd”. Chociaż nie jest to absurd dla Alana Greenspana, raczej konserwatywnego liberała, na czym USA całkiem dobrze wychodzą. To Pan Prezydent wynagrodził jednego z głównych autorów fatalnej, neoliberalnej reformy emerytalnej, Marka Góre, która przez lata będzie poważnie obciążała budżet. A szefem ekonomicznych doradców uczynił jednego z najbardziej wolnorynkowych ekonomistów, Witolda Orłowskiego. Na jednej z konferencji zapewniał, że w Polsce istnieje (nie tylko w Konstytucji, ale w rzeczywistości) ustrój społecznej gospodarki rynkowej. Wierzy, że należy odchodzić od państwa opiekuńczego, ograniczać zakres państwa, chociaż nie ma dowodów, że tak

skutecznie czyni którykolwiek kraj kontynentu europejskiego. Że kwestia „etatu”, czyli pracy, zatrudnienia, bezrobocia, to sprawa odpowiedzialności indywidualnej. Państwu nic do tego. Żebyż przynajmniej głosił poglądy liberalizmu zachodnioeuropejskiego...

KOZŁOWSKI: A więc gdzie jest polska lewica?

KOWALIK: Na pewno nie w Pałacu prezydenckim. Lewica jest rozproszona w małych partyjkach i stowarzyszeniach. Nie ma lewicy w większych partiach. Bo nawet Unia Pracy podryfowała razem z SLD do politycznego i ekonomicznego centrum. O SDPL można powiedzieć tylko tyle, jeśli chce się jej dać szansę, że jest jeszcze nieokreślona. W sprawach socjalno-ekonomicznych najwięcej jest lewicy w schizofrenicznym populizmie, we związkach zawodowych, w milczącej większości. W mocy pozostają słowa Jacka Kuronia sprzed dziesięciu laty: „Klęska Solidarności nastąpiła dlatego, że wyłonione z niej władze państwowe, miast stanąć na czele masowego ruchu przebudowy, działały ponad społeczeństwem. Ponad jego głowami realizowano program etatystyczno-technokratyczny, co spychało większość w roszczeniową lewicowość, tym bardziej radykalną, im dotkliwiej odczuwano koszty upadku komunizmu”. Po dziesięciu latach powtórzmy te słowa rozpoczynając: „Klęska Solidarności i SLD nastąpiła dlatego...”

A czy z tej populistycznej magmy wyłoni się jakaś trwalsza, większa partia lewicowa, czy znajdzie się na początek grupa, lub partia, która potrafi to wielkie pole zagospodarować, to dopiero przyszłość pokaże. Jedno jest pewne, w tej chwili zorganizowane siły transformacji kapitalistycznej powtarzają elementarz wad i błędów transformacji komunistycznej. W obu brak wewnętrznych sił i możliwości reformy. I na tym polega błędne koło, które może przerwać jakiś wstrząs. Oby był ucywilizowany.